

M. DERECKI
Jodwigo
J. PACLAWSKI
Pruszyńskiego
nauki z historii
L. PŁAZEWSKI
Portret na ścianę

MÓC ZABIĆ I CHCIEĆ ZABIĆ

Maciej Podgórski

RZECZ będzie o ludzkiej krzywdzie. I o zawilich drogach ludzkiej sprawiedliwości jakkolwiek by ją rozumieć. O sprawach typowych i wyjątkowych. I o tym w końcu, że — jak powiadają — choć na świecie nie jest proste, zazwyczaj też nie dzieje się bez powodu, aczkolwiek czasem sporo dzieje się z przypadku.

Próba zabójstwa, krótki dramat, rozegrany między dwoma ludźmi 25 sierpnia b.r. o godz. 6.20 na polskiej powiatowej zsoście, sięga korzeniami wydarzeń dawniejszych, sprzed trzech lat blisko.

„Uważam, że chciał mnie zabić Oldak” — napisze ze szpitala poszkodowany Mieczysław Czerwiński, a przy tym zezna: „Ja Oldaka znam od najmłodszych lat i nigdy nie miałem jakichkolwiek zatargów”. „Ja Mieczysława Czerwińskiego nie uderzyłem kółkiem”. Czerwiński nie był proszony na wesele, znalazł go od małego dziecka i nie nigdy do niego nie miałem” — równocześnie zezna podejrzany Stanisław Oldak podczas przesłuchania. Później zaś, już jako oskarżony, powtórzy to w trakcie rozprawy, która toczyła się przed sądem powiatowym pod koniec 1967 roku.

Dochodzenie, śledztwo, rozprawa ustaliły, choć nie bez kłopotów, iż to właśnie Oldak zadał ten cios, co pośrednio musiał „uznać” nawet jego adwokat, a czemu tylko sam oskarżony, a następnie skazany, zaprzeczał do końca. Silny cios kółkiem od pioty w tył głowy. Jak więc się wszystko mogło stać, skoro ci dwaj, mieszkańcy jednej wioski — wedle ich własnych słów — nie nigdy do siebie nie mieli?

Sytuacja wyjściowa. Jesień 1967 roku. Wiedź nawet nie jakaś sławetna rozróbkami, w ogóle przeciętna raczej, miejscowi na ogół zyczliwi sobie. Główne postaci. Mieczysław Czerwiński, lat 20, syn lutejszych gospodarzy, wykształcenie — zasadnicza szkoła zawodowa, z zawodu ślusarz, pracujący daleko od domu — w jednej ze Śląskich fabryk, gdzie zarabiał jego sięgający około 3 tys. zł miesięcznie, wtedy — w wojsku, a ściślej — na krótkim urlopie wojskowym w rodzinnej wiosce. Stanisław Oldak, lat 46, wykształcenie — 4 klasy szkoły podstawowej, niekarany, niezbyt zamożny gospodarz z żoną i 18-letnią córką na 2.85 ha.

Sytuacja samego zajścia. Sprawa niemal banalna. Oldak wyjadał córkę za mąż. Wiejskie, huczne tradycyjnie wesołisko, diagnące się nocą z 16 na 17 września 1967 roku. Sześćdziesiąciu zaproszonych gości pięć obojga. Dom weselny w obojętym Oldaka, przed domem podłoga z desek — do tańców; całość odgrazona od sąsiedniego pola płotem z grubych drewnianych żerdzi, obok wiejska droga, po przeciwnej stronie, drogą przy rowie — przyzna tłuczonych kamieni polnych. To prawie wszystko. Istnieje jeszcze miejscowy zwyczaj, że na wesele schodził się lutejsza, nawet nie zaproszona kawalerka, aby tańczyć. Czyli praktycznie bawi się niemal cała wieś.

Jak szczegółowo wyglądało zajście, jak dokładnie „zagrata” ta sytuacja, nigdy chyba nie da się usadlić początkowo trudno było nawet stwierdzić, kto z kim się szarpał, kto i kiedy uderzył Czerwińskiego, który od około godz. 22.00 był w pobliżu ze sporą grupą kolegów, przy-

Dokończenie na str. 6--7

Pruszyńskiego nauki z historii

Jan Paclawski

nieprzeciętnej twórczości autora powieści „Droga wiodła przez Narvik”, warto zwrócić uwagę na jeden z najbardziej ciekawych motywów, bez wątpienia uczestniczący w kształtowaniu postawy ideowej i politycznej tego twórcy, który nazwałbym „Pruszyńskiego nauki z historii”. Nauki, które z całym poczuciem odpowiedzialności i wielką odwagą cywilną potrafił przekazywać na użytek przede wszystkim tych warstw, których egoizm klasowy i krótkowzroczność polityczna pozbawiała naród rozsądnych koncepcji rozwoju narodowego i społecznego. Pisarz ten był przede wszystkim nieprzeciętnym burzycielem szkodliwych mitów i przypominał w tym względzie, jak zwrócił na to uwagę J. Hen 9), najlepsze osiągnięcia Stowackiego. Paśja, konsekwencja w trojeniu nieprawdliwości, szlachetność pobudek, najczęściej słuszność postulo-

wanej drogi — oto cechy głęboko ideowego i zaangażowanego piarstwa autora „Karabeli z Meschedu”. Historia i wyciągnięcie z niej wniosków, porównywanie wydarzeń często odległych w czasie, stanowiło swoistą obsesję piarstwa Pruszyńskiego, doprowadziło w twórczości literackiej do konstrukcji tyle niewiarygodnych, co i banalnych, jeśli nie potraktuje się ich jako sposobu ukazania określonych problemów pozaliterackich. W swoisty sposób w utworach tego piarza rzeczywistość reportażowa współżyje z wypadkami historycznymi i fikcyjnymi, postacie rzeczywiste mieszają się z kreacjami literackimi, bohaterowie nie mogą wyzwoilić się od historii, współczesność, chciałoby się rzec, mierzą doświadczeniem płynącym z minionych czasów. Tak na przykład w „Karabeli z Meschedu” historia dostaje się do opowiadania wraz z bogactwem antykwarycznych rupiec i dzieł sztuki. Historia też służy w tym utworze jako środek nobilitacji nazw geograficznych i postaci, pospolitych skądinąd: Tak, Zelwa! Zelwa — ze szym mostem i groblą na Zelwiance — to był jedyny błysk czegoś w tych stronach,

jakieś muśnięcie sławy, i ile razy w moim życiu na malej bryczce wjeżdżałem w noc ciemną do stacyjnej mieściny Zelwy, marzył mi się Zeromski i noc na przedpolach Mantui, i on — obrońca Zelwy, poległy pod Piramidami, polski oficer i jakobin, Józef Sulkowski 9). Albo: Ich protoplastą nie był Mi-

Dokończenie ze str. 8

Jan Górec—Rosiński

* * *

Jest niepewność kielka:
lęk przed stopą kamieniem ostrzem.
Jest naiwność rosy:
ufność w dobrodziejstwo słońca.
Jest zuchwalość stali
i cierpliwość rdzy,
namiętność ognia
i obojętność miecza.
Co kryje wnętrze?
Powiedz, ciszo,
siostrzo odpoczywających zegarów.

Atrybut sensu

O Umarlił kto pochowa lęk
gdy wzrok dojrzy pewność świecy
szukającej w ogniu
sensu dogasania?
Niech sądzi ślepcy. Zuchwalość oczu
jest zbyt oczywista—
patrz: umiera światło
i oto zyskujesz pewność że tylko
ciemność
jest wiekiustością.

* * *

Sądz mnie, Dobry,
za wzburzenie przeciwko piaskom:
wyjadają oczy palmom.
Sądzi, Sprawiedliwy,
za bunt przeciwko siekierom:
olacza żywcem.
Sądzi, Wszchemagający,
nie mogą pojąć sensu
cmentarza, w którym Ojciec.
Transcendentny Zamysł,
wznosi Absolut
ramieniem grabarza.

* * *

Reklama słatka
odprowadza sny
z ogrodów zakostnowanych
doimn płynie rzeka
łowcami motyli
górną mury róża
wodospadem owoców
środkiem źródła
tańczy menueta
nie napelnilem wiader
woda w kamieniu



Fot. J. Mendychowski

Gorączka nad Huczwą

Romuald Wiśniewski

BUTY gumowe pan ma? To dobrze. Bez butów ryzykownie ruszać. Był pan tam kiedy? Nie? To pan nie wie. Aha, w Dolhobyczowie pan był... To też nie pan nie wie. Dolhobyczów, mówiąc między nami, dziura. Ale jeszcze 32 kilometry od Hrubieszowa, elektryczność, dobra droga. Dla kierowcy cywilizacja, to dobre drogi.

Pierwszy raz przysiali mnie tu w 1964. Przez dwa tygodnie mieszkałem u rolnika w Hulczu. Bez żadnych wygód, bez prądu. Jak mnie potem przenieśli na kwaterę do PGR Dolhobyczów, cieszyłem się jak małe dziecko. Zresztą miałem wtedy i inną radość: podczas mojej nieobecności urodził nam się syn. Zona napisała, że jest zdrowy, ładny i że sama czuje się dobrze. Teraz, na dwa tygodnie przed wyjazdem, też urodziło nam się dziecko. Nie, nie drugie, już szóste. Mam 33 lata i pierwszą kategorię prawa jazdy, jakoś zarobię na utrzymanie rodziny. Przydałbym się w domu, niestety trzeba wozić buraki. Pracujemy po 12 godzin na dobę, czasem dłużej, w niedziele też. Mówią, że trzeba przywieźć odpowiedni zapas surowca, to wtedy w Wigilię przysiął po nas autobus, pojedziemy do domu i wrócimy w drugi dzień świąt. Inni mówią, że się nie uda. Przykro byłoby do końca kampanii nie zobaczyć rodziny. Kiedy kampania się skończy, nie wiadomo. Dwa lata temu, gdy był rekordowy urodzaj, trwała do połowy lutego... Teraz pana pozełam, bo muszę jeszcze przygotować wóz na rano i ogolić się. A jak pan ma gumłaki, warto pojechać za Dolhobyczów. Cześć chłopaki, do jutra!

Jan Gański przeciąga usprawiedliwiająco dłońią po zarosniętej twarzy i wychodzi. Zostaje z jego dwoma kolegami. Też kierowcy z PKS Bytów w woj. koszański. Pytam o warunki pracy tu, z dala od domów, i co robią w czasie wolnym od pracy.
— Spimy — mówi Tadeusz Wilkowski, 33-latek, ojciec pięcioro dzieci. — Co można robić po jeździe przez pół doby 18-tonowa, licząc z przyczepą, ciężarówką? Je się kolacje, czasem dopiero spóźniony obiad, oglądnie dziennik telewizyjny, coś zrobi przy sobie i do łóżka. W telewizji najwięcej interesuje mnie prognoza pogody na dzień następny. Od pogody zależy dużo warunki jazdy. Co więcej? No, filiżanka kawy. Na kawę wpadamy głównie w przerwie między jednym kursem a drugim, żeby się orzeźwić. Obiad też się je w locie. Pomocnik poprowadzi wóz do wyładunku buraków i załadunku wysłodków, a ja skoczę do sto-

Dokończenie na str. 4



Zwycięstwo rozsądku



Zmarli

Film

64-letni prof. dr Władysław Szafer, członek rzeczywisty PAN, szeregu zagranicznych towarzystw naukowych...

Roman Wieniec realizuje film, w którym wystąpi osobiste Aloyz Twardycki, autor słynnej książki autobiograficznej...

Coraz większa popularność cieszy się w ZSRR aktorka filmowa Tałana Durumina. Jej ostatni film „Jeszcze raz o miłości”...

Po pięcioletnich zabiegach BBC uzyskała wreszcie prawo wyświetlenia 5 najgłośniejszych filmów z Greta Garbo.

Włoski producent Gian Vittorio Baldi zrealizuje film, którego fabuła będzie osnuta na tle bestialskiej zbrodni, popełnionej na Sharon Tate.

Literatura

W Domu Literatury w Warszawie odbyła się uroczystość 40-lecia pracy twórczej wybitnego poety i tłumacza Leopolda Lewina.

Pod koniec listopada odbyła się w Warszawie plenium Zarządu Głównego ZLP, poświęcone problemom dramaturgi i teatru.

Pod koniec listopada odbyła się w Warszawie plenium Zarządu Głównego ZLP, poświęcone problemom dramaturgi i teatru.

Pisarze radzieccy Kaźalow, Bubennow i Popar zostali laureatami nagród literackich, przyznawanych w ZSRR za najlepsze utwory...

Różne

W Krakowie odbył się okresowy zjazd T. warszawskiego Kulturowego Członka i Słowaków w Polsce.

Ponad 1300 amatorskich zespołów artystycznych, skupiających około 25 tys. członków, istnieje w woj. poznańskim.

153 tytułów w nakładzie ponad 2 mln egzemplarzy — taki będzie tegoroczny dorobek Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Pod hasłem „Sztuka dla mnie — sztuka dla ludzi” w krakowskim klubie studentów „Jaszczury” odbyło się spotkanie z Jerzym Broszkiewiczem i Adamem Hanuszkiewiczem.

We Fryburgu w Szwajcarii powstał komitet organizacyjny Międzynarodowego Instytutu Kultury Morskiej.

W Berlinie zachodnim trwają Dni Kultury Polskiej, poświęcone osiągnięciom naszego kraju w różnych dziedzinach życia kulturalnego.

Na licytacji w Londynie sprzedano za 1500 dolarów list Napoleona, w którym cesarz dwa dni przed bitwą pod Waterloo wyrażał rozpaczkę na pomoc marszałka Ney'a.

Spadkobiercy Ryszarda Wagnera postanowili sprzedać najwięcej dającym wille w Bayreucie, gdzie kompozytor spędził ostatnie 18 lat życia.

Za każdym razem, kiedy będzie pisała książki, mówi sobie: ta będzie ostatnia. Jeżeli jednak praca stała się przyzwyczajeniem i jeżeli człowiek czuje, że stać go na napisanie następnej powieści...

Teatr

Już 25 naszych teatrów zgłosiło udział w I Ogólnopolskim Festiwalu Sztuk Krajów Socjalistycznych.

Warszawski teatr „Syrena” obchodził 25-lecie istnienia. W tym czasie dał on ponad 90 premier i 14 tys. przedstawień dla 6 milionów widzów.

W połowie lutego w Londynie odbędzie się wystawa prac scenografów polskich. Znajdą na niej m. in. projekty Józefa Szajny...

W Glasgow w Szkocji Robert Walker wystawił „Mother Courage” w zupełnie nowej reżyserii i scenarii.

Sztuka

Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Zarząd Główny ZPAP ogłosili konkurs otwarty dla członków ZPAP na rzeźbiarski pomnik Mikołaja Kopernika w Fromborku.

Fundacja im. Jana Herdera z Wiednia „za pracę, która przyczynia się do zacieśnienia więzów i porozumienia między narodami europejskimi”...

W Szczecinie odbyła się sesja naukowa Słowarzyństwa Historyków Sztuki na temat roli i funkcji dzieła sztuki w epoce postępu technicznego i cywilizacyjnego.

Przy wydatnej pomocy wielu zakładów pracy Muzeum Techniki w Sielcu pod Koninem ulega generalnej rekonstrukcji przy równoczesnym uzupełnianiu zbiorów.

Na terenie dawno zasypanej fosy we Fromborku odkryto znakomicie zachowane mury barbakanu.

W Łodzi w muzeum fotografii i Alberta uznano wreszcie fotografię jako dzieła sztuki i w połowie grudnia uruchamiała stała galeria fotografii.

W Kolonii otwarto wystawę malarstwa 42 twórców, prezentując ich dzieła, które stworzyli po przekroczeniu 55 lat życia.

Muzyka

Filarmonia Szczecińska przy współpracy WKZZ oraz „Kuriera Szczecińskiego” rozpoczęła cykl pod nazwą „Szczecińskie spotkania z muzyką”...

Poznański Chór Chłopięcy pod dyktando Jerzego Kurczewskiego wystąpił w Moskwie, Leningradzie, Charkowie i Minsku.

Wiedeń kończy różnorodny cykl imprez, związanych z 200-leciem urodzin Beethovena.



Producentka amerykańskiej twórczyni, 46-letnia Mary Hughes, rodowita Kalifornijka, będzie godną następczynią Doris Day.

PISZE te słowa 22 listopada. Wczoraj prasa opublikowała tekst układu między PRL a NRF...

W tym roku minęło ćwierć wieku od rozgromienia hitlerowskiej III Rzeszy. Zmieniła się mapa Europy.

NRD pierwsza wyciągnęła logiczne wnioski z lekcji historii. Jednym z pierwszych kroków tego państwa w dziedzinie polityki zagranicznej było zawarcie z PRL 6 lipca 1950 r. w Zgorzelcu „Układu w sprawie wytyczenia ustalonej i istniejącej niemiecko-polskiej granicy państwowej”.

W 1950 r. przy władzy w NRF był Konrad Adenauer. Reakcyjna większość Bundestagu ostro zareagowała na postanowienia Układu Zgorzeleckiego.

W cztery lata później kanclerz Adenauer zaszczepił swoją obecnością dorocznego zjazd tzw. ziomków Prus Wschodnich...

Podobnie wojowniczo przemówienie wygłosił wicekanclerz Erhard, żądając polskiego Słaska. Równocześnie prezydent NRF, Lübke, wysunął roszczenia do polskich ziem zachodnich.

Bacnie obserwowaliśmy i relacjonowaliśmy te głosy, ale jednocześnie niezmiennie deklarowaliśmy naszą gotowość do uregulowania stosunków z drugim państwem niemieckim — Niemiecką Republiką Federalną.

A Władysław Gomułka w swym przemówieniu wygłoszonym w Olsztynie w dniu 28 października 1967 r. podkreślił z całą mocą: Uznanie przez NRF istniejącej granicy Polski na Odrze i Nysie...

Jeśli NRF przebyła tę olbrzymią drogę, jeśli w Bonn działy dziś do głosu rozsądek, nie sposób nie wspomnieć o jednym: naszej pracy. Ziemię zachodnią odbudowaliśmy w ciężkim trudzie...

W roku 1952 wychodził miesięcznik artystyczno-literacki i polityczno-społeczny, organ Związku Pisarzy Białoruski „Polymia”...

W roku 1953 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

27 lutego: Przez uznanie granicy (na Odrze i Nysie) dzisiaj nie byłoby wygranej, a bardzo wiele stracił. Nie można powołać się w tej sprawie „romantyczno-utopijnymi koncepcjami”.

Tymczasem w samym społeczeństwie zachodnoniemieckim zaczęły zachodzić interesujące procesy myślowe. Badania różnych instytucji wykazywały niezmiennie stały wzrost procentu głosów tych, którzy wypowiadali się na rzecz normalizacji stosunków z Polską...

Zmiany zachodzące w NRF obserwowaliśmy z całą uwagą, nie tracąc bynajmniej z pola widzenia hałaśliwej nagonki sił rewizjonistycznych, okresowego ożywienia się kół neofaszystowskich skupionych wokół NPD...

W 1950 r. przy władzy w NRF był Konrad Adenauer. Reakcyjna większość Bundestagu ostro zareagowała na postanowienia Układu Zgorzeleckiego.

W cztery lata później kanclerz Adenauer zaszczepił swoją obecnością dorocznego zjazd tzw. ziomków Prus Wschodnich...

Podobnie wojowniczo przemówienie wygłosił wicekanclerz Erhard, żądając polskiego Słaska. Równocześnie prezydent NRF, Lübke, wysunął roszczenia do polskich ziem zachodnich.

Bacnie obserwowaliśmy i relacjonowaliśmy te głosy, ale jednocześnie niezmiennie deklarowaliśmy naszą gotowość do uregulowania stosunków z drugim państwem niemieckim — Niemiecką Republiką Federalną.

A Władysław Gomułka w swym przemówieniu wygłoszonym w Olsztynie w dniu 28 października 1967 r. podkreślił z całą mocą: Uznanie przez NRF istniejącej granicy Polski na Odrze i Nysie...

Jeśli NRF przebyła tę olbrzymią drogę, jeśli w Bonn działy dziś do głosu rozsądek, nie sposób nie wspomnieć o jednym: naszej pracy. Ziemię zachodnią odbudowaliśmy w ciężkim trudzie...

W roku 1952 wychodził miesięcznik artystyczno-literacki i polityczno-społeczny, organ Związku Pisarzy Białoruski „Polymia”...

W roku 1953 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.

W roku 1952 wychodził propagandowe czasopismo „Baknot abistara”, w r. zaś 1945 — jego wersja rosyjska — „Boknot agitatora”.



POCZĄTEK lipca ubiegłego roku: dziesięciotygodniak Polskich Linii Oceanicznych „Smolny” stoi w basenie macierzystego Nowego Portu w Gdańsku. Dopiero za kilka dni odplynie z drobnicą do Pakistanu, Indii, Cejlonu. Przez Bałtyk, Atlantyk, Ocean Indyjski... Kanał Sueski zablokowany, spore koło zatoczy statek, nim dotrze do celu: dawniej rejs trwał trzy miesiące, dziś dwakroć dłużej. Dawniej funkcję lekarza z powodzeniem spełniał odpowiednio przeszkolony drugi officer. W cięższych przypadkach chorobowych pomocy szukano w pobliskich portach, licznie rozsiadanych wzdłuż trasy „Smolnego”. Długość obecnego rejsu wymaga jednak stałej obecności lekarza na pokładzie. Tym razem będzie nim doc. dr Mieczysław Jesipowicz z Katedry i Kliniki Chirurgicznej Akademii Medycznej w Lublinie, która na podstawie umowy z Polskimi Liniami Oceanicznymi niemal od trzech lat dostarcza lekarzy na „Smolnego”.

Statek w pustawej ciszy. Marynarze po odbębieniu ośmiogodzinnej służby biegna na ląd: żonać do rodzin, kawalerowie w przeciwnym kierunku. Pozostają tylko wachty. I Docent. Nikogo jeszcze nie poznał, nie ma znajomych w portowym mieście. Przesiaduje w kabinie zapasowej, bo nie ma kabiny lekarza pokładowego. Ciasne pomieszczenie, nie ma mowy o gimnastycznym spacerze. Łóżko, kanapka, małe biurko, krzesło, umywalka. Perspektywa do wewnątrz, ale szeroka, do samego Lublina. Jeszcze niedawno stał przy stole operacyjnym: kilkanaście minut, kilka godzin, w temperaturze 30 stopni spływającej ciężkimi kroplami po gumowym fartuchu. Jeszcze niedawno jako pierwszy w Polsce dokonał

symbolem, który w oczach zagranicznych rodaków skutecznie broni się przed epitetem rekwiwitu dziecięcej zabawy. Dwumetrowy kapitan Bolesław Rakowski, do tego brunet, nie traci przecież nic z indywidualności i zresztą bryluje w polonijnym towarzystwie, najczęściej wśród dam. Docent dochodzi do banalnego wniosku, że ci zadani i zapewne ustabilizowani życiowo obywatele państwa belgijskiego po prostu tęsknią do rodzinnego kraju. W tym momencie i jemu zaczyna czegoś brakować.

W Kanale La Manche załogę zaczynają boleć zęby, więc Docent przyjmuje pierwszych pacjentów, wydaje proszki, zaleca płukania. Poważniejszych przypadków nie stwierdza, ale marynarze odwiedzają szpitalik również „na wszelki wypadek”, nie mówiąc wprost, żądają lekarskiej opieki. Obserwuje z zaskoczeniem, że ci ludzie, szorstcy, ciężko zapracowani ludzie wprost kochają swoje ciało! Docent zawsze miał dużo cierpliwości i delikatności, ale marynarze w niczym nie przypominają pacjentów lubelskiej przychodni. Ładowe pojęcie taktu wypełniają inną zgola treścią, a przy tym okazują się diabelnie czuli na strofowanie, pouczenia. Docent już wie, że w żaden sposób nie wolno mu urazić, nawet mimowolnie, pacjenta — marynarza, bo w przeciwnym wypadku nie zobaczy go więcej w swoim gabieście. Słucha więc z należytą uwagą każdego, aplikuje to i owo... Te wszystkie czynności nie są jednak w mocy wypełnić czasu.

Po raz pierwszy w dojrzałym życiu stwierdza, że okoliczności dają mu zbyt dużo wolnego czasu. Nie tak dawno temu godziny, dni i miesiące miały niepostrzeżenie, przysłonięte działaniem, rozpiętym nie na tarczy zegara, lecz na siatce faktów. Czas był pojęciem abstrakcyjnym, zaakceptowa-

Maksim Tank

Tu właśnie ich rozstrzelano.
Stanęli trzej partyzanci,
Wyprostowali ramiona
Nie chyłąc przed śmiercią głów.
Zapisz w pamięci zdarzenie
Przez poranną ścianę
Opowiedziane przed chwilą.
Te ślady kul

zamiast słów.

Ten, kto drzewa sadił, —
Będzie wiosennym ich kwiatem;
Ten, kto w polu siał ziarno, —
Zytem zakłosi się znowu;
Kto innych darzył pamięcią, —
Ożyje we wspomnieniach;
Kto pieśń układał dla ludu —
Echem jej zmartwychwstanie.

Kiedy byłem mała, mała...
Z pieśni ludowej

Kiedy byłem mała, mała,
Matusia mnie kołysała,
Potem wietrzyk, trzpiot swawolny,
Pośród żyta konik polny,
Potem świerszcz od pieca graniem,
Potem słowik turlikaniem,
I jablonie i czereśnia,
Potem — chłopcy, tańce, pieśni...
Dziś już nie powrócą więcej
Tamte lato, sny dziewczęce.
Pozostała tylko cisza,
Wspomnieniami ukolyszcie.

Z białoruskiego przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

do kabiny, do książek. Po godzinie jest znów na pokładzie: dwadzieścia kroków w jedną, dwadzieścia kroków w drugą stronę, krótki postój i obserwacja marynarzy konserwujących urządzenia statku — aha, ten blondyn z Poznańskiego cierpi na korzonki nerwowe, ci dwaj z Lubelskiego mają inne kłopoty, a krepęgo chłopaka z Olsztyńskiego nekają bóle nie usuniętych w porę piñaków, choć regulamin nakazuje wyciecenie zębów

obserwuje zielone i żółte rekiny, niewinnie pływające przy burtach — piękne zwierzęta... Jedyną kartkę wysłał z Hamburga, na Wyspach Kanaryjskich nie wiedział jeszcze o istnieniu poczty kapitańskiej, a teraz jest ocean, tylko ocean. Radio zamilkło koło Las Palmas. Z krótkofalowego nasłuchu telegrafista wyluskuje szczytki krajowych wiadomości, z czego przyrządza „dziennik marynarza”. Na jednej kartce maszynopisu informację z wybrzeża, polityczne, dwa, trzy wyniki ligowych meczów piłkarskich — fala ciągle zanika... Co pięć dni pisze Docent nowy list do żony, chowa do biurka; nadane później na poczcie w Karaczi, nigdy nie dotrą do Polski.

Każdej soboty film fabularny w messie załogowej: „Krzyżacy”, jakieś francuskie, jakieś radzieckie, jakieś. W sumie pięć filmów cieszy marynarskie oczy przez 24 tygodnie rejsu, za co soczystym słowem chwala matrosy PLO. Na tym przecież nie poprzestają i puszczają filmy a) od końca, b) „do góry nogami”. Podobno „Krzyżacy” na odwrótkę sprawiają niezatarte wrażenie. Ciężki zapach bije z oddali, marynarze pociągają nosami: tak, to Karaczi. Tydzień pobytu.

Serdeczna opieka konsula i jego małżonki oraz przedstawiciela handlowego Polskich Linii Oceanicznych.

Oszaloniające wystawą przyjęcie u lokalnego księcia — przemysłowca, co tydzień goszczącego w zachodniemieckich firmach.

A na barce koło statku chudy czelczyzna w opasce na biodrach wyciąga rybę z fall, trochę ją skrobie, tnie na spore części i wrzuca do kociołka z wodą z basenu portowego. Po kilku minutach zajada.

Teraz „Smolny” wpływa do Bombaju, gdzie cumuje na cały miesiąc.

Dokerzy wyładują urządzenia do elektrowni, budowanej przez polskie firmy w Indiach, prasa bombajska obszernie informuje o przybyciu statku, zamieszcza liczne zdjęcia z uroczystości powitania załogi i cennego ładunku. Powoli jednak opuszcza on ładownie „Smolnego”, co kilka godzin robotnicy przerywają pracę i odpoczywają, gdzie popadnie.

Załoga przesiaduje w kinach oraz w Domu Marynarza, gdzie można zjeść, zagrać w brydża i ping-ponga, potańczyć z panienkami z sodalicy przykościelnej, które wprowadza nobliwy pastor.

Czas toczył się szyćbiej, ale tylko przez pierwsze dwa tygodnie, potem czekało się już na odjazd.

Rejs do Colombo po kauczuku, herbatę i kawę. Nieobecność ludzi śpiących na ulicach, żebraków, widoczna pewna zamożność, wyższy stopień cywilizacji. Poza tym piękne miasto, z fascynującą „Bramą świata”, pod którą szumi akustyczne morze.

Powrót do Bombaju. Bez wpływanego do portu, na redzie „Smolny” okrętuje orzechy. Potem odwraca się dziobem na zachód: kierunek Gdańsk.

Śniadanie, drzemka... Wszystkie książki naukowe już przewertowane, niedługo wyczerpa się „kryminały” z biblioteki „Smolnego”. Na pokładzie zbyt gorąco.

...obiad, partia kalapitki, kilkunastu pacjentów. W dalszym ciągu z bólami zębów, ale i z nowymi schorzeniami na tle nerwicowym: żółdka, masowa bezsenność, obawy, szczególnie u starszych przed intensywną konfrontacją z żoną.

...five o'clock, kolacja. Koło ZMS organizuje „podwieczorki przy mikrofonie”, turnieje sportowe itp. Marynarze biorą w nich udział — z ironicznym dystansem.

...czas „rodzinny”. Z Bombaju docent bezkutecznie telefonował do żony. Dopiero w Gdańsku dowiódł się, że żona poszukiwała go przez marynarskie „Radio — Szczecin”, również bezskutecznie.

Las Palmas (tankowanie paliwa), Antwerpia, Hamburg, Kanał Kiloński, Gdańsk. Żony marynarzy z wianuszkami dzieci na rękach: żelazny rytuał, czy spontaniczny odruch?

Na widocznym miejscu w gabinecie docenta Jesipowicza stoi lew z okrętowej liny, własnoręcznie skreślony przez bosmana. Nieco wyżej — metalowy świecznik w kształcie kotwicy z literą „S”, upominek od załogi maszynowni. Niewielki kinkiet podarował ktoś wdzięczny za wyrwanie dwóch zębów.

Niedługo po powrocie do kraju odwiedził mieszkanie p. Jesipowiczów pierwszy mechanik, a drugi officer zapytał listownie, czy mógłby, jeśli zajdzie potrzeba, umieścić w lubelskiej klinice swoją matkę, chorą na kamicę żółciową.

Te przedmioty i fakty wywołują inne wrażenia i uczucia, zasadniczo różne od zrealizowanych, bliższe pojęciu egzotycznej, męskiej przygody...

SMUTEK TROPIKÓW

Ireneusz J. Kamiński

anatomicznej resekcji tkanki wątrobowej co pozwoliło zmniejszyć śmiertelność w przypadkach pourazowych tego organu z kilkudziesięciu do kilkunastu procent. Zaledwie tydzień temu siedział przy swoim domowym biurku, wertując rozprawy naukowe. Dom i klinika, klinika i dom, to dwa wymienne elementy w pełni ustabilizowanego świata Docenta, w którym przecież na bezczynność nie było miejsca. Urodził się w Lublinie, tu skończył gimnazjum humanistyczne, w którym pani profesor Pliszczyńska uczyła go historii sztuki, czego śladem albumy malarstwa w jego prywatnej bibliotece i dzieła zebrane Słowackiego, tu także studiował medycynę, doktorował się i habilitował pod kierunkiem prof. Tadeusza Onyszkiewicza. W tym uporządkowanym świecie realizował się bez reszty: małomówny, stronił od licznych i przypadkowych znajomości, z narysem dobierał partnerów naukowych i towarzyskich kontaktów.

I nagle w ten ład skończony wpada propozycja Polskich Linii Oceanicznych, wypełniająca wyobraźnię adresata barwami mórz południowych, egzotyką dalekich kontynentów, wielką przygodą, leniwym odroczeniem. Hamburg, Antwerpia, Wyspy Kanaryjskie, Karaczi, Bombaj i Colombo — obiecają Polskie Linie Oceaniczne, w zamian oczekując jedynie od docenta Jesipowicza, aby stał się lekarzem pokładowym drobnicowca „Smolny”. Jeśli zaś największa wycieczka turystyczna do Azji kosztuje około 30 tys. złotych...

Późniejsze wypadki poczęły się tak szybko, że docent lubelskiej Akademii Medycznej nie przypomina sobie dokładnie, w jakich okolicznościach znalazł się na statku.

W ciasnej kabinie dzień pierwszy, drugi, piąty. Bezcelowa wioząca go pokładzie, oceanianie się o nieznanych ludzi, na ogół bardzo młodych. Już uchwytne, lecz wylumaczalne poczucie obecności i nieprzydatności. Powracanie myślami do tego, co było, pomijanie tego, co będzie, co być może. Przytłaczająca bezczynność, która zniknie na pewno z chwilą wypłynięcia z portu. A więc natrętne pytania, kierowane do officerów: kiedy odplywamy? „Jak załoga skończy sztafowanie ładunku”. Co to takiego, to sztafowanie?

Wreszcie ze statku schodzą celnicy i żołnierze WOP-u, Telegrafista, ostatni z załogi na lądzie, likwiduje się telefoniczna łączność „Smolnego” z ziemią. Podpływają holowniki... To wszystko i tylko tyle notuje Docent w pamięci: coś się wreszcie działo zaczęło.

Trochę mizernej emocji przynosi przeprawa przez Kanał Kiloński. Tłok tu ogromny, statek wmontowany w długą tyralierę różnych jednostek płynie bardzo powoli...

Krótki skok i „Smolny” zawija do Hamburga, gdzie bierze jakieś towary, niezwykle szybko i sprawnie ładowane. Docent po raz pierwszy schodzi na ląd bo postój przewidziany na półtorej doby. Duże, zapracowane miasto, luksusowe, szokujące bogactwem wystawy, lecz skłepy czesto wyludnione — lepa kieszka kosztuje 100 dolarów. Jak na ironię Hamburg jest portem wolnocłowym, na statek można wnieść wszystko, co się komu zamarzy, bez dodatkowej opłaty.

Potem Antwerpia. Okrętowanie kolejnej partii ładunku. Ponowne zejście na ląd i turystyczny spacer do katedry, gdzie obraz Rubensa. Nieoczekiwana wizyta naszego konsula, który zaprasza kapitana, pierwszego oficera i Docenta do Brukseli, na spotkanie z polonią belgijską. „Bardzo panów proszę o założenie mundurów”. Oficjalna reprezentacja w ostro zaprasowanym przyodziewku? Nie, nie taka to prosta sprawa, przekonuje się Docent, który zresztą paraduje w cywilnym garniturze, bo półroczne zaokrępowanie nie zapewni marynarskiego uniformu. Mundur jest pojemnym

nym jedynie na zasadzie konwencji, najogólniej regulującej życie społeczne. Docent czuje, że teraz, na statku, daleko od stołu operacyjnego i prywatnego gabinetu, zaważonego stosami rozpraw naukowych, daleko od uporządkowanego na własną modłę i raz na zawsze domu, że teraz właśnie czas pojawia się jako coś namacalnego, lepkiego, wręcz obrzydliwego, co mogło otoczyć go tylko w warunkach obcych. Spodziewał się egzotyycznej przygody, nerwowej emocji dalekomorskiego rejsu, a na samym wstępie otrzymał możliwość nazwania obywatela — jęcej siły bezczynnego czasu. Uświadamia sobie, jeszcze mgliście, że najbardziej autentyczną przygodę pozostawił na lądzie.

Polyskliwa uroda Wysp Kanaryjskich nie robi na Docencie najmniejszego wrażenia. Szare, smutne pejzaże. Tylko morze najbardziej pięknie z widzialnych... „Smolny” tankuje paliwo w Las Palmas, przygotowując się do miesięcznej samotności na dwóch oceanach, które przetrze bez zawijania do portów afrykańskich.

Coraz cieplej, płyniemy „pod gorzkę”, mówią marynarze, niedługo pan doktor zacznie się pocić, wtedy najlepiej wypić małą whisky z lodem, nie tak nie pomaga na upał i zmęczenie.

Tydzień samotnego rejsu w wilgotnym cieple. Liczba pacjentów zwiększa się do piętnastu dziennie, ale przychodzą po południu, wcześniej nie mają czasu chorować, pracują przecież. Potworna monotonia, jeszcze gorsza bezczynność. Każdy następny dzień podobny do poprzedniego.

Docent wstaje o siódmej, goli się, o ósmej zjawia się w messie oficerskiej. W jednej części pięć czteroosobowych stolików, w drugiej, oddzielonej hieratycznie zasłoną z wiotkich paleczek, stół kapitański, przy którym zasiada starszyzna: kapitan, pierwszy officer, pierwszy mechanik i Docent, korzystający z wyjątkowych praw gościa. Jadłospis śniadaniowy: jajka w dowolnych ilościach i postaciach, wędliny, pomidory, masło, pieczywo, mleko, kawa, herbata, Jadłospis urozmaicony i kaloryczny, marynarze jeść lubią i są przekonani, że należy im się dobre jedzenie, jako pewna rekompensata za oderwanie od domowej kuchni.

Po posiłku godzinna rozmowa. Si sami ludzie mówiący o tych samych rzeczach. Od tygodnia, od miesiąca, przez następne kilkanaście dni... „Co się dzieje w domu? Janek zdł matura, Marysia prosiła o sweterek orlonowy. Baryla, ten to potrafił wypić! Trzeba będzie szwagrowi pożyczyc. Przydałby się nowy wóz Agnieszce. Pamiętam, jak na urlopie...” Niewiele słów o osobistych, indywidualnych zainteresowaniach, pasjach, marzeniach, jakby ich życie wpisane w rejs statku miało wagę i rozpiętość przemijającej chwili, jakby sprawy rzeczywistości ważne działy się poza nimi, na lądzie, wśród rodzin, których istnienie — tylko ono — gwarantuje celowość wszelkich wysiłków.

Irytująca powtarzalność tematów, od których nie można się uchylić, zastąpić innymi, bo nikt nie wyobraża sobie nawet, że są sprawy ważniejsze czy ciekawsze. Docent skłutuje to na własny użytek: obsesja. I tłumiąc wewnętrzny sprzeciw wysłuchuje długich relacji o życiowych walorach najbliższej latorośli towarzysza wspólnego stołu, bo w gruncie rzeczy ma dla tych ludzi wielki szacunek. Zresztą życie na statku bezwzględnie zmusza do chwytania się każdej deski porozumienia.

Kapitana, pierwszego oficera, pierwszego mechanika, ochemistrza i Docenta nie obowiązuje normalny rytm statku, spięty czerem szóstogodzinny wachtaami. Po śniadaniu zamyka się więc Docent w kabinie i czyta medyczne tomiska, notuje nasuwające się uwagi, pogrąża się w swoim świecie.

Niszczący azył ryk syreny wyprowadza go na pokład: niedaleko przepływa jakiś obcy fachtowiec, po kilkunastu minutach nikiący w niebieskim horyzoncie. Powraca Docent

Gorączka nad Huczwą



Fot. J. Urban

Dokończenie ze str. 1

lówki. Jedzenie dobre, stolówka czysta, 9,50 za obiad, to niedrogo. Więcej pieniędzy trzeba na śniadania i kolacje.

— No, a kino, mała wódka czy piwo, jakieś towarzystwo?

— Nie będę pił piwa o 8 wieczorem, jeśli o 4 rano siadam za kierownicą. Kino? Nawet nie wiem, gdzie jest. Naprzeciwko, w domu kultury, tu gdzie kawiarnia? Jak kiedy będę miał czas, to wpadnę. Co do towarzystwa, pogada się z kolegami czekając na rozładunek. W innych okolicznościach nie ma kiedy. Kobiety, owszem, pracuje ich tu sporo. Bywają takie, że zamienisz parę słów i już umówiłaby się na wieczór, choć mówię, że mam swoją babę i dzieciaki. Zupełnie bez wstydu są takie kobiety, nie? Po co mi takie, powiedz Heniek!

— Racja. Jem obiad, siadała jedna obok mnie i pyta, co robisz po kolacji, bo ona mnie chce zaprosić do siebie, posłuchamy muzyki, mów. I jeszcze mówi, że jestem podobny do francuskiego artysty, który umarł niedawno, i że bym ją rozśmieszył. Też coś! — Henryk Strelka, 40-latek, ojciec pięciorga dzieci, jeszcze teraz jest oburzony, choć istotnie zadziwiająco podobny do Bourvila. — A ja mam na głowie wóz „Zubr”. Ma cholernie mocny silnik, ale słaby tylny most, już 3 razy mi nawalił, gdy pociągnąłem szybciej po gorszych drogach. Kto ma „Jelca” czy „Maz-a”, mniej kłopotuje się. A to co mówił Gański o świętach, chyba się nie uda. Pociągnę jeździć się do nas półtoręj doby, autobusami PKS dobie, gdyby przysłali specjalny wóz po nas, to zleci 15 godzin na jazdę w jedną stronę. Potem wracać drugie 15 i zaraz siadać za kółkiem?

Strelka spieszy się w drogę, przeprasza, podaje rękę i wychodzi.

Wszyscy tu się spieszą. Siedzą w stolówce zakładowej cukrowni w Werbkowicach i obserwują. Lokal widny, czysty. Wielkie tafle okien, białe obrusy. Tylko posadzka, w kątach lśniaca, na środku uwalana placzkami błota. Co chwila wchodzi mężczyźni w popielatych czapkach PKS, kufajkach, kożuszkach, skórzanych kurtkach lub grubych swetrach. Na nogach gumki ubłoczone do wierzchołków cholew. Jedzą szybko, w pośpiechu, w milczeniu i wychodzą. Wymawiają się od rozmowy. Przepraszam, nie mam czasu. Przepraszam, muszę jechać do Sahrynia. Dobrze, pogadamy wieczorem, teraz gazuję do Hostynnego.

Wieczorem mają zacerzynione od wypatrywania oczy, idą ociężały, zmęczeni walą się z nóg.

— Nasza grupa koczownicza PKS składa się z 22 pojazdów. Każdy bierze 18 ton, 8 na samochód i 10 na przyczepę. „Maz-y” ładują trochę więcej. Wóz obsługują kierowca i pomocnik; są z różnych oddziałów naszego przedsiębiorstwa. Mamy też 7 monterów i własną stację obsługi. Najgorzej jest z częściami. Nieraz szukam ich i w Zamościu, Lublinie, a nawet dalej. Pracujemy na 1 zmianę, po 12 godzin. W praktyce zawsze dłużej. Ludzie tyrają, bo chcą jak najszybciej zrobić swoje i wrócić do domu. Dla naszego przedsiębiorstwa to dobry interes. Jeszcze nie wiem, po ile zarobimy. Tu kierowcom odpada dodatek za konwojowanie towaru, wiadomo, nikt mu paru buraków nie ukradnie. Może będą jakieś inne stawki? — Kierownik ekipy koczowniczej, Marian Wojdalski, recytuje jednym tchem, jakby chciał jak najszybciej się mnie pozbyć. Rzeczywiście chce. — Niech pan się nie gniewa, od świtu laziłem bez przerwy, za 6 godzin mam być z powrotem w pracy, a jeszcze nie jadłem kolacji. Znow się nie wyspię.

Pogoda, sen i rozstanie z rodziną, to główne tematy kierowców, z którymi udało mi się porozmawiać.

— Bo co więcej? — pyta Alfons Jądzewski, dowożący cysterną paliwo z CPN i wydający je kierowcom. — Spanie jest dobre, pokoje w hotelu cukrowni wygodne, dwuosobowe, ciepłe. Kąpiel gorąca i

zimna o każdej porze. Tylko mało czasu na sen. Kierowcy zaczynają pracę o 4—6, kończą o 18—20. Jeżdżą, jedzą i śpią. Najgorzej z domem. Ja mam pięciorgo dzieci, żona pisała, że tęsknią i proszą, bym je odwiedził. Chciałbym, tylko jak? Kawał drogi.

Jest chłodny listopad, ale tu, w Hrubieszowskiem, panuje gorączka buraczana. Cukrownia Werbkowice, najnowocześniejsza w Europie, której kopie budujemy w wielu krajach świata, zawarła umowę z plantatorami, o uprawę buraków na powierzchni 10 tysięcy hektarów. Ma przerobić buraki z wszystkich plantacji leżących na południe od Hrubieszowa, aż do granic powiatu oraz z pogranicza powiatów zamojskiego i tomaszowskiego. Z najlepszych ziem w Polsce. Dwa lata temu rolnicy z tego terenu dostarczyli do Werbkowice 5 milionów ton. W tym roku urodzaj był słabszy, ale niewiele. Burak dojrzewa późno, a jest mało odporny na skoki temperatury. Trzeba go więc jak najszybciej zebrać, dostawić do cukrowni i przerobić. Im dłużej będzie magazynowany, tym mniej z niego pożytku. Własnymi siłami powiat tego nie zrobi, cierpi na brak rąk do pracy. Pomagają przybyście z innych powiatów i z innych województw.

W cukrowni na wagę wjeżdża pojazd z pojazdem. Wielkie ciężarówki z przyczepami, ciężarówki bez przyczep, traktory spółdzielni produkcyjnych, PGR-ów i kółek rolniczych, ciągnące po dwie małe przyczepy, a także wozy konne chłopów mieszkających w pobliżu. Jeden wjeżdża, drugi wjeżdża. Na drugiej wadze taruje się wozy puste. Wągownia pracuje na dwie zmiany, po 12 godzin. Cholerna robota, ani chwili wolnej. Alicja Wiśniewska, kontystka, pracuje już od zdnania matury, czwarty sezon. W czasie kampanii mieszka w hotelu robotniczym, na okres martwy wjeżdża do rodziców w Gdeszynie, w tym powiecie. Jan Szykula, wagowy, siódmy sezon.

Nieco dalej — druga wągownia. Wązą buraki przywożone kolejką wąskotorową z Tuczapów, Wronowie i Turkowice.

— Pracę lżejszą można tu znaleźć łatwo, tylko po co, jeśli zarobki mniejsze? — mówi Szykula.

Najlepiej mają się etatowi pracownicy cukrowni. Jest ich 400. Po kampanii dla nich też do licha i trochę zajęć. Remont, przeglądy maszyn, wreszcie choćby pakowanie, załadunek i wywóz cukru, lecz już nie w takim tempie. Część stałych pracowników, głównie specjalistów ze średnimi i wyższymi kwalifikacjami, mieszka w osiedlu zakładowym. 8 bloków w środku wsi, 164 mieszkania z gorącą i zimną wodą, łazienkami i kanalizacją. Inni mają swoje domy. Część u kogoś. Pracowników sezonowych jest 800. W hotelu robotniczym w osiedlu kwatruje 170, a baraku hotelowym przy cukrowni (też wszystkie wygodne, tyle, że barak) — 100, 360 dowozi się autobusami, około 170 to obsługują punkty skupu, mieszkająca na kwaterek przy tych punktach.

Kierownik administracyjno-handlowy cukrowni, Stanisław Miszczak, od którego zebrałem te wiadomości, ma podbite oczy i nie ogoloną twarz. Do późna w nocy grzebał

się w papierkach. Nadrabiał zaległości z wczoraj. Wczoraj nie miał czasu, w zakładzie gościła delegacja przemysłowców zagranicznych. Chcą, żeby Polska zbudowała im taką samą cukrownię.

Miszczak zatrzymuje wielkiego „Jelca” z przyczepą.

— Daleko pan jedzie? — pyta kierowca.

— Do Chłopiatyna.

— Dobrze. Niech pan wsiada — to do mnie — Chłopiatyn leży 64 km stąd. Najdalszy punkt skupu na południu.

Ciężarówka jest własnością niedawno powstałego oddziału PKS w Hrubieszowie. Od dwóch lat i Hrubieszowianie wożą swoje buraki. Kierowca, Leopold Janiec, jest w lepszej sytuacji od kolegów z Kozalińskiego. Śpi zawsze u siebie w domu. Narzeka za to na drogi. W ubiegłym roku woził buraki do drugiej Hrubieszowskiej cukrowni, w Strzyżowie nad Bugiem. Tam lepsze drogi i bezpieczniejsze. I place w składach brukowane.

— O, popatrz pan na to skrzyżowanie. Nazywa się Tatarska Góra. Żeby nie wiem jak kręcił kółkiem, zawsze mi przyczepa przelazła prawy kółkami po poboczu. Nie mogli zrobić szerzej? Tyle buraków przecież woz się.

Hamujemy gwałtownie przed mężczyzną w berecie nasuniętym na oczy. — To Zdzisiek Badio, operator ładowniczy w Wereszczanach — mówi kierowca. — Czego chcesz?

— Weźcie mnie, muszę być migiem w robocie — usadawia się w kabinie. — Półtora dnia reperowałem ładownicę, popracowałem trochę i trzasnęło sprzęgło. Chciałem się w chałupie trochę przespać, póki nie dadzą zapasowego. A tu mnie budzą, że jest druga ładownia. Z Czerkas przywieźli i trzeba nadrabiać zniegłości. Dobrze, że u nas w punkcie jest telefon i takie rzeczy szybko się zalatwia.

Zagłębiamy się w Hrubieszowskie. Ziemia świeżo zaorana czy zabronowana, miejscami jest tak czarna, jak gdyby zaorano i wygrabiono asfalt. Od naszej drogi odchodzą w bok polne, też czarne, rozjeżdżone szerzej niż stoleczka Marszałkowska. W koleinach kałuże wody.

— No, no — komentuje Badio — wybrukować tu co trzeba, to na reszcie można zasiać buraki i kopę pieniędzy zarobić.

Wszędzie buraki. Modryń z piękną muirowaną cerkwią. Obok długie stogi konopnej słomy, a dalej skład z wysokimi przyzmami buraków. Mirce, Wereszyn, gdzie wysadzamy operatora. Już Dołhobyczów. Buraki, nowe domy mieszkalne w PGR. Kończy się płaska jak stół równina i kończy się dobra droga. Kierowcy w stolówce i atlas samochodowy, który obejrzałem wcześniej, mówili prawdę. Na jednym wzniesieniu kościół, na drugim cerkiew, pomiędzy nimi droga wąska, falująca. Pędzimy z góry, żeby wskoczyć na tamto wzniesienie. Zza

tamtego wypada wyladowany burakami „Maz” z przyczepą. Brak ślisk, powleczone błotem. Tamten też chce rozpędem wjechać na drugie wzniesienie. Janiec ściga „Jelca” na prawo, na sam skraj drogi, mijamy „Maz-a” o centymetry. I zaraz Uhrynow, tablica z napisem „Strefa przygraniczna”, na kierunkowskazie napis „Granica państwa”, droga wygina się łukiem w prawo, wiedzie wzdłuż granicy.

Znow buraki. Składy w Oszczowie i Uśmierzu. Im dalej od Hrubieszowa, tym większy ruch w składach. Stąd buraki trzeba wywieźć najwcześniej, póki nie zawieje, póki nie ma zasp, żeby nie zostały na zimę w przyzmach. W dolinie, na lewo od drogi, po radzieckiej stronie granicy, widać miasteczko, nad które wystają wieże kościelne. To Waręż. Tablica „Granica państwa”. Skręcamy w prawo. Sullimów — i znow widać Waręż. Wreszcie Hulcze, Zniatyn i Chłopiatyn. W PGR-ach budują nowe bloki mieszkaniowe. We wsiach czerwienie świeża cegła chłopskich domów mieszkalnych. Dużych, piętrowych na ogół. Jest ich chyba nie mniej niż starych, bielonych na siłnawo. Pod szkołą coś w rodzaju wozu Drzymaty, którym dowożą na naukę dzieci z odległego PGR-u. Tylko droga nie najlepsza. Za Chłopiatynem — na wzniesieniu punkt skupu. Wzniesienie niewielkie, lecz wóz pnie się z trudem, wreszcie staje, choć silniki pracują pełną mocą. Droga przykryta jest grubą warstwą gęstego błota. Kola obrabiają się w miejscu. Nie wyjeździemy. Pomocnik kierowcy, Jan Bodys, wyskakuje i bierze do punktu. Przyjeżdża ciągnik gąsienicowy i holuje nas na plac z burakami. Błoto po kolana. Ciągnik wynajęty jest ze spółdzielni produkcyjnej w Budynie. Bez niego samochody nie dalyby rady. Kierowca, Zenon Kozak, przez 12 godzin na dobę wyciąga wozy z drogi na plac, a potem ściągają je z powrotem. Do roboty przystępuje ładownia mechaniczna z Werbkowice. 25 minut i 18 ton buraków jest na wozie i przyczepie. Janiec odjeżdża.

Punkt skupu to nie wybrukowany plac, z małym drewnianym kantorkiem i wagą. We wsi prąd jest, tu nie doprowadzono, więc punkt czynny jest tylko przez 12 godzin dziennie. — Wystarczy. W całodobowym nie zgodziłabym się pracować za nic. Przecież i tak pod wieczór o mało nie wyzionę ducha. — Kierowniczka punktu, Leokadia Chudyna, ma zaledwie 21 lat. Pochodzi z Kotle pod Zamościem, męża i rodzinę odwiedza raz na dwa tygodnie. — Już niedługo tej mordęgi. Umowa z plantatorami mówi, że mają do 20 listopada dostarczyć buraki. Niedługo potem powinny być i wywiezione.

Personel punktu nie jest starszy. Pomoc wagowa Aleksandra Romanowicz — lat 20, procentowa Maria Martyna — 19, robotnik Jerzy Ty-

burek — 21, drugi robotnik, Eugeniusz Szymański — 19. Tylko dozorca, Jan Erdzik — 69.

Wszyscy zamiejscowi. Wstają o 4, pracują do 18, czasem dłużej, mieszka u gospodarzy, dom rodzinny odwiedzają rzadko. Przy akupie zarabia się nieźle, choć na piecie herbalki nie ma czasu. Jedni wywożą buraki, drudzy przywożą.

Oto wyladowany wóz. Para koni ciężko robi bokami. Woźnica i dwaj inni mężczyźni popychają. 27-letni, Eugeniusz Głuszcza z Chłopiatyna, gospodarzy na 14,5 ha. Buraków kontraktuje 2,5 ha. Mówi, że urodzaj jest dobry, ponad 400 kwintali z hektara.

— Dużo pan ma jeszcze do przywiezienia?

— Zostało 280 arów w ziemi i około 200 kwintali na kopie. Trzeba się spieszyć, bo ziemia co dzień gorzej lepka.

Z bocznej drogi wyjeżdżają dwa sprzężone traktory, ciągnące jedną przyczepę. Kierowcy z ulgą zsiadają z siodeł.

— Myślałem, że już nie przejeździemy. Jeszcze tydzień, a koniec, tylko gąsienice dadzą radę — mówi jeden z nich, Tadeusz Pastuszek. Razem z bratem Władysławem, przywieźli buraki ojca, Stanisława. Wszyscy są z Osertowa. To 3 km stąd. Każdy gospodarze oddzielnie, ale ojciec nie ma swego traktora, trzeba mu pomóc.

— Jak sucho, to jeden traktor bierze dwie przyczepy — mówi Tadeusz. — Jeszcze trochę deszczów, a i trzy nie pociągną jednej.

Z niektórych wsi już teraz nie uciągną — dodaje kierowniczka. — Mchodówek leży o 8 km stąd, cały czas pełną drogą. Buraki zwieźli przed 1 listopada. Teraz do nich dojazdu nie ma w ogóle, chyba że pusty wóz i para bardzo mocnych koni.

Już noc. Chłopi wwożą swoje buraki po omacku. W kantorku pali się słaba lampka naftowa. Czesław Rosołowski, przy świetle reflektorów swojej ładownicy napelnia kolejny samochód. Ciągnik z PGR-u spiesznie odjechał, bo tam przez 12 godzin nocnych ma orać pole. Lucjan Słusarski, kierowca ciężarówki, (a tym razem jest to wóz PKS z Kraśnika, który ma tu 55 jednostek pracujących przez całą dobę, na dwie zmiany) domaga się, by ściągnięto go na szosę. Przywiązują linę do ładownicy. Ciągnie nierówno, wpadamy w koleinę, wóz pochyla się niebezpiecznie na prawą burtę. Kierowcy sprzecają się.

— Człowieku, zrozum, to nie traktor, a ładownia — tłumaczy Rosołowski.

Wreszcie droga. Ładownia odjeżdża. Słusarski rusza wolno z góry i od razu wóz tańczy. Od prawego pobocza do lewego. Z powrotem.

— Masło pod nami — mamrocze przez zaciśnięte zęby Słusarski. Obraca kierownicą, naciska pedały, lecz wóz toczy się bezwładnie. Z boków mamy rowy, za plecami 18 ton buraków. W lusterku widzę, że przyczepa sunie poprzecznie do jeźdni. Teraz bokiem osuwamy się my.

— Trzymajcie się czegoś! — przekrzykuje warkotem silnika Słusarski. Nieprzyjemny skurcz przelatuje mi po plecach. Już jedziemy prosto i znow bokiem. Wreszcie bruk! Nagi bruk! Bez tego lepkiego błota, nawiezionego z punktu. Stajemy. Gdzieś daleko na polach widać światła, nadlatuje stamtąd warkot traktorów.

Słusarski otwiera kabinę, wychodzi. Twarz ma mokra.

— No bracia, żyjemy. Trzeba przejść się parę kroków i uspokoić. W gardle mi zaschło. Nie ma który z was choć kostki cukru? No to papierosa...

Z przeciwnej strony nadjeżdża następna ciężarówka.

Józef Wiesław Zięba

jak strażak nad dachami czuwasz

u podnóża płacyk maleńki jak dłoń wyciągnięta

samochody i ludzi znasz tu jak wszystkie przejścia

czas w ulicach z wolna się nawarstwia i twój ślad zamknięty pozostaje tutaj

jak grudę ziemi w słodką toń jeziora

z grudy tej z toni nad wodę wypływa zapowiedź paka i zapowiedź liścia

i wszedłem z nim w las smukły wolny od podszycia każąc odchylić kamień ukryty w kolumnach

ho-hop — wołałem gdzie jesteś linio dawna linio mego dziada linio mego wnuka

ho-hop

cóż ci z tego echa

Jest jeszcze taki skrawek ziemi który pod stopą można zatrzymać

ulice i domy łagodnieją z bliska przez stare bramy przejścia po zaułkach

czasu usłonego w murach nasłuchasz się

nasłuchasz

wznosisz się wysoko po sektorach patrzysz w dół

W CIĄGU niespełna trzech lat istnienia Majdanka poniosło tu śmierć około 360 000 więźniów. Gineli oni na skutek głodu, epidemii, w komorach gazowych, na szubienicach, w dołach egzekucyjnych, pod kijami i butami kapów. Codziennie stopy nagich zwłok odwożono do krematorium lub na stopy spaleni-skowe. Śmierć straciła tu swój ma-jaść, przestała być zjawiskiem nie-codziennym. Towarzyszyła więź-niom na każdym kroku.

Wśród ofiar Majdanka znalazło się wielu znanych przed wojną lu-dzi. Oto kilku z nich:

Historyk literatury prof. dr Kazi-merz Kolbuszewski, ur. 27 stycz-nia 1894 r. w Przemyślu. Poświęcił się przede wszystkim badaniom nad piśmiennictwem polskim XVI i XVII w. Wykładał na Uniwersyte-cie Stefana Batorego w Wilnie (1922—31), a następnie na Univer-sytecie Jana Kazimierza we Lwo-wie (1931—41). Opublikował szereg prac o literaturze reformacyjnej w Polsce, z których na szczególną u-wagę zasługują studium „Postylio-grafia polska XVI i XVII wieku” (1921). Był także edytorem krytycz-ny „Poezji barskiej” (1928).

Aresztowany we Lwowie 17 września 1942 r. jako jeden z wie-liu przedstawicieli inteligencji pol-skiej, został osadzony w więzieniu przy ul. Łąckiego, 1 lutego 1943 r. został przewieziony na Majdank, gdzie zginął po dwudziestu dniach pobytu.

Literat, pedagog, dziennikarz i kierownik literacki teatrów, Leon Pomirowski, ur. 30 lipca 1891 r. w Warszawie. W latach 1933—36 był kierownikiem literackim tygodnika „Pion”, a następnie, aż do wybu-chu wojny, pełnił tę samą funkcję w teatrach Towarzystwa Krzewie-nia Kultury Teatralnej. Ponadto żywo interesował się współczesną prozą i dramatem. Dał temu wyraz w licznych publikacjach. M. in. w 1928 r. wydał zbiór rozpraw pt. „Doktryna a twórczość. Rzecz o najnowszej prozie polskiej i drama-cie”, a następnie zarys syntetycz-ny: „Walka o nowy realizm” (1933) oraz „Nowa literatura w nowej Polsce” (1933). W 1937 r. otrzymał Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury.

W okresie okupacji działał w or-ganizacji konspiracyjnej „Polski Związek Wolności”. Równocześnie kontynuował badania nad literatu-rą, przygotowując do druku dwie prace: „Wacław Berent. Studium krytyczne” oraz „Ludzie i mity”. Obydwie pozycje, złożone u Gebeth-nera i Wolfa, uległy zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego.

Aresztowany w Warszawie 7 lip-ca 1942 r., został uwięziony na Pa-wiaku, a stamtąd 17 stycznia 1943 r. w około dwutysięcznej grupie mężczyzn i kobiet przetransporto-wano go do obozu koncentracyjnego w Lublinie. Tu jeszcze w okre-sie kwarantanny wspólnie z inż. Stanisławem Zelemem zorganizował tajne wykłady. W okresie później-szym, pracując przy wypełnianiu kart nowo przybyłych więźniów, mimo obecności SS-manów starał się dodawać im otuchy, a także ostrzegał, by nie przyznawali się do posiadania stopni oficerskich ani do zawodów, których przedstawicie-le byli szczególnie prześladowani przez władze obozowe. W maju

ZGINĘLI NA MAJDANKU...

Zofia Murawska

1943 r. Pomirowski, osłabiony wa-runkami panującymi na Majdanku, padł ofiarą tyfusu płamistego.

Pośmiertnie, uchwałą Prezydium Krajowej Rady Narodowej z dnia 17 września, 1946 r., został odzna-czony Złotym Krzyżem Zasługi.

Ksiądz prof. dr Roman Archu-towski, kanonik katedry Metropolii Warszawskiej. Był regensem Semi-narium Duchownego w Warszawie oraz dyrektorem Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki. Opublikował wiele podręczników, m. in. „Histo-rię Kościoła Katolickiego w zary-sie” oraz „Historię święta Nowego Testamentu”. Aresztowany przez gestapo 11 listopada 1942 r., był więziony w Pawiaku, a 17 stycznia 1943 r. został przewieziony na Maj-danek. Tu jeszcze przed nadejściem wiosny został zatrudniony w ogro-dzie, gdzie musiał pracować mimo zimna, deszczu i śniegu, a nastep-nie przewoził zwłoki z pól wieśniar-skich do krematorium. Obrznięte bólowe nogi i chore serce sprawiły, że z trudem mógł chodzić. Wkrótce zachorował na dur płamisty i zmarł.

Wzorowy rolnik szkółkarz, ak-tywny działacz ludowy z kol. Strzel-ce koło Naleczowa, Bolesław Stasi-ak. Ukończył średnią szkołę w Sobieszynie i wciąż uzupełniał wie-dzę w zakresie ogrodnictwa, toteż jego gospodarstwo szkółkarskie i ogrodnicze uważane było za jedno z najlepszych w powiecie puławskim. Brał także żywy udział w życiu po-litycznym. Działał w PSL „Piast”, a następnie w Stronnictwie Ludo-wym, gdzie piastował kilkakrotnie funkcję prezesa oddziału naleczow-skiego, był także członkiem Zarzą-du Powiatowego. W 1937 r. był jed-nym z organizatorów strajku chłop-skiego.

Już w 1939 r. rozpoczął działal-ność konspiracyjną. Z jego inicjaty-wy w styczniu 1940 roku, został sporządzony spis chłopów z gminy Naleczów, zdolnych do walki, z uwzględnieniem rodzajów broni. W marcu 1940 r. na pierwszym zebra-niu konspiracyjnym działaczy Stron-nictwa Ludowego i „Wiel” z pow. puławskiego Stasiak został wybrany przewodniczącym zarządu tajnych władz „Rocha” na pow. puławski. Przybrał pseudonim „Wróż”. Pracował z ogromnym poświęceniem.

Aresztowany w grudniu 1942 r., był więzionym w siedzibie gestapo w Kazimierzu, a następnie na Zamku w Lublinie. Torturowany w czasie śledztwa, nie ujawnił ani jednego nazwiska działaczy konspiracyjnych.

Przewieziony do obozu na Majda-nek, zginął w marcu 1943 roku.

Utalentowana aktorka i poetka pochodzenia żydowskiego, Pola Braun. Przewieziono ją na Majdank w maju 1943 r., jednym z transpor-



łowy z getta warszawskiego. Wyróż-niała się urodą i kulturą, a równo-cześnie ogromnym hartem ducha. Nie zalamana się ani po wpływie tragicznych przeżyć w getcie, ani w obozie koncentracyjnym. Już w kilka tygodni po przybyciu Pola Braun rozpoczęła wśród więźniarek działalność kulturalną, pragnąc w ten sposób oderwać je od kuzmar-nej rzeczywistości. Odkryła, że w jednym z baraków na polu kobie-cym znajdował się fortepian.

Aktorka wraz z kilkunastoosobo-wą grupą kobiet codziennie pota-jemnie urządzała tam solowy kon-

cert. Grała utwory wybitnych kom-pozytorów i deklamowała. Pisała także wiersze w języku polskim.

3 listopada 1943 r. Pola Braun zginęła w egzekucji jako jedna z 18400 osób narodowości żydowskiej, rozstrzelanych tego dnia na Maj-danku.

Młody, niezwykle zdolny lekarz niemiecki dr Otto Hett, pochodzący z Augsburga, fizjolog z sanatorium szwajcarskiego, asystent profesora Aleksandra. Jako zdecydowany wróg hitlerizmu, został aresztowa-ny i osadzony w Dachau, gdy przy-jechał do Niemiec odwiedzić cięż-

ko chorego ojca. Z Dachau przewie-ziono go na Majdank. Inteligentny, odważny, obdarzony talentem prze-konywania, potrafił pozyskać perso-nel SS-mański do swych poczynań, utrzymując, że ma na względzie je-dynie dobro Wielkich Niemiec. W raporcie pisanych do komendanta-ry obozu o stanie zdrowia więźniów, potępiał bicie ich przez kapów pod-kreślając, iż powstałe w ten sposób obrażenia ciała wpływają nieko-ryzownie na wydajność pracy. Uzy-skał nawet pozwolenie na prowa-dzenie wykładów dla lekarzy przez prof. M. Michałowicza, przekonując, że będą one przydatne dla III Rze-szy.

Dr Hett przebywał w obozie lu-belskim do końca jego istnienia; 22 lipca, w przeddzień wyzwolenia, wraz z ostatnią grupą więźniów przeznaczonych do ewakuacji, zo-stał wyprowadzony pieszo, ponie-waż władze obozowe nie dyspono-wały żadnym środkiem lokomocji. Punktem docelowym dla tej grupy miał być Oświęcim. Pierwszy po-stój przewidziany był w Kraśniku. Dr Hett oraz dr Gabriel postanowi-li zabrać ze sobą cenne książki medyczne, przywiezione na Majda-nek przez lekarzy-więźniów. Osła-bieni jednak tyfusem i warunkami obozowymi, nie byli w stanie utrzy-mać szybkiego tempa marszu. Wów-czas jeden z eskortujących SS-ma-nów, SS-Unterscharführer Kostial zaproponował im, by weszli do po-bliższej chaty i zczekali na fur-manke, którą pojadą dalej. Tam ich podstępnie zastrzelił.

Jan Nosek, adwokat warszawski, poseł na Sejm w latach 1928—31, aktywny działacz PSL „Wyzwole-nie”, a następnie Stronnictwa Ludo-wego, współtwórca „Wici” w woje-wództwie lubelskim. Aresztowany za działalność konspiracyjną, w styczniu 1943 r. znalazł się na Maj-danku. Tu przez robotników cywil-nych udało mu się nawiązać kon-takt z rodziną. Pewnego razu kry-minalista niemiecki kapo Fritz Illert dowiedział się, że Nosek otrzymał z domu grys i pieniądze. Żądał wydania łącznika. Gdy adwokat od-mówił, wymierzył mu bykownicę 150 uderzeń. Poranionego straszli-wie więźnia nie pozwolił odnieść na rewir. Nastąpiło ogólne zakazanie, w wyniku którego po upływie trzech dni Nosek zmarł.

Ponadto na Majdanku zginęli: Zofia z Zagórskich Samolewiczowa, historyczka sztuki, ceniony ekspert i konserwator dywanów perskich, Stanisław Sumiński, przyrodnik i pedagog; Hipolit Wąsowicz, rolnik, działacz polityczny, b. poseł do Du-my, prezes Rady Naczelnej Stron-nictwa Narodowego, Józef Marsza-łek, generalny sekretarz Banku Rol-nego, działacz organizacji „Siew”, Michał Wawrznowski, profesor Pań-stwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej; Posner, naczelny rabin polowy WP; Stanisław Micewicz, profesor Wyższej Szkoły Inżynierii Wojskowej w Warszawie, a nastep-nie naczelny fizyk firmy Giesche w Katowicach; Tadeusz Lutman, dr historii i filozofii, pracownik Ossoli-neum, autor prac historycznych; Andrzej Jalowicki, publicysta i ekonomista, dyrektor Rady Głównej Opiekuńczej w Warszawie; Tadeusz Bossakowski, działacz narodowy z Kolomyi, długoletni redaktor „Ga-zety Pokuckiej”.

Dlaczego hitlerowcy zbombardowali Frampol?

Stanisław Wołowicz przełożył książkę Wolfganga Schreyera „Oczy na niebie”, która ukazała się w 1968 r. w Berlinie (NRD) nakładem Niemieckiego Wydaw-nictwa Wojskowego. Książka sta-nowi kronikę piracką, poświęco-na jest m. in. lotniczemu szpie-gostwu i działaniom Luftwaffe w czasie drugiej wojny świato-wej. Oto jeden z fragmentów, do-tyczący m. in. zbombardowania przez hitlerowskie lotnictwo wsi Frampol w województwie lubel-skim.

POD koniec lat trzydzie-tych Luftwaffe prze-prowadzała coraz czę-ściej próby z różnymi rodzajami broni zrzuca-nej. Badano wówczas nie tylko siłę wybuchową i zapal-ność tej broni, lecz także zjawisko odrzutu jej do tyłu. Kiedy bowiem bomba zostaje wyrzucona z samo-lotu, zostaje ona natychmiast od-rzucona do tyłu przeciwdziałającą siłą oporu powietrza. Wielkość tego wstecznego odrzutu zależy jest od rodzaju bomby. W związku z tym wielkość ta nie daje się obliczyć teoretycznie, musi być ona stwier-dzona eksperymentalnie. Bez znajo-mości tych wielkości nie było i nie jest możliwe dokonywać prawidło-wych zrzutów.

Testy, przeprowadzane na tere-nach treningowych, przestały w pewnym momencie zadowalać kie-rownictwo Luftwaffe. Zapragnęli więc on „zebrać doświadczenia w rzeczywistych warunkach wojen-nych”. Było to, jak pisze Winston Churchill w swojej książce „My Early Life” (Moje wczesne życie) najjaśniejszym celem większości militarystów. Jak dziś wiadomo — to właśnie było motywem, powsta-nia faszystowskiego „Legionu Con-dor”. Agresywny imperializm u-patryzył sobie wówczas Hiszpanię jako idealny teren wojennych eksperymentów, tak jak zresztą później Koreę i Wietnam. W cieniu wojny ojczyźnianej, w realnych war-unkach, można było wypróbować nowe rodzaje broni, stwierdzić ich działanie, udoskonalić typy.

20 kwietnia 1937 r. hiszpańskie miasteczko na północy kraju, nie mające żadnego wojskowego zna-czenia — Guernica w Luno, zostało całkowicie zniszczone przez bom-bowce „Legionu Condor”. Ten bez-myślny wyczyn zaszkodził opinie publicznej świata. W samym Legio-nie mówiono z zakłopotaniem o tym, że chciano trafić wiadukt, po-łożony poza miastem. Faktycznie Guernica była niczym innym, jak tylko celem treningowym większej skali. Przyznała to zresztą na po-czątku stycznia 1968 r. zachodnio-niemiecka telewizja. O przestęp-stwo tym przypomina słynne malow-ido Pabla Picassa.

Prawdopodobnie druga z kolei tego rodzaju zbrodnia ujawniona została dopiero niedawno!

13 września 1939 r. samoloty 4 floty powietrznej generała Löhra, zaatakowały polską wieś Frampol, położoną na południu kraju, paląc ją niemal doszczętnie. Dowódcą lotnictwa Löhra był generał-major Freiherr von Richthofen, był leg-jonista hiszpański. Kto dał rozkaz zniszczenia wsi — do dziś nie wia-

domo. Pewien były specjalista od oceny zdjęć, czwartej floty po-wietrznej, nazwiskiem Harry Hahne-wald, opublikował 2 zdjęcia Fram-pola — miejscowości, jak Guer-nica — o 4 tysiącach miesz-kańców. Zdjęć dokonano w dniach 9 i 18 września. Pierwsze z nich po-kazuje miasteczko-osadę, pozbawio-ne zupełnie przemysłu, dojazdu ko-lejowego, bez mostów, bez jedne-go polskiego żołnierza i w ogóle nie stanowiące jakiegokolwiek przeszkody taktycznej. Na drugim zdję-ciu Frampol jest w większości spalony. Można też na nim rozpoznać ślady czołgów niemieckich, które o-tyczyły miasteczko, podczas gdy stało ono w płomieniach. Miejsco-wość weszła na listę celów bom-bardowań — oświadczył w „Freie Welt” Harry Hahnewald — ponie-waż prawdopodobnie jakiś samolot dalekiego zasięgu dokonał, na po-czątku wojny lub może jeszcze wcześniej, zdjęcia Frampola. Oce-niających to zdjęcie fachowców musiało ono zafascynować. Ta regu-larnie zbudowana miejscowość, z centralnie położonym rynekciem i ratuszem w środku, była właśnie klasycznym obiektem treningowym dla lotnictwa wojskowego. Przy-puszczalnie odpowiedni sztab na-tychmiast podjął decyzję przepro-wadzenia tam testowego nalotu. Latwo zorientować się, że z wyko-naniem tego rozkazu czekano do momentu, aż front znalazł się w rejonie Frampola.

Do tego samego wniosku doszedł major Manfred Otto, po dokład-ny zbadaniu lotniczego materiału zdjęciowego. Już bowiem fakt, że obydwu zdjęć dokonano z identycz-nego punktu, było rzeczą zupełnie niezwykłą. Za tym też przemawia-ją dwa elementy określające wa-runki bombardowania (ustalone prawdopodobnie dla Frampola przez volksdeutsche). Wskazuje to jednoznacznie na charakter ekspe-

rymentalny ataku. Bomby zrzucono z wysokości 1000 m i przy szyb-kości lotu 200 km/godz. Przy tych warunkach oraz północno-wschod-nim wietrze, wiejącym z szybkością 6—8 m/sek, zrzucone winno nastę-pnie z odległości 760 m, co jedno-cześnie wykazuje 5-procentowy odr-zut.

Frampol został dlatego wybrany na obiekt doświadczalny, ponieważ wolno lecące bombowce testowe nie były narażone na żadną obronę przeciwlotniczą, a poza tym central-nie usytuowany ratusz tego mia-steczka stanowił idealny punkt orientacyjny dla nalotu. Brano pod uwagę możliwość orientacji pilota według znaków widocznych, a tak-że wielkość miejscowości, co dawa-ło ostatecznie gwarancję, że bomby bezwzględnie upadną na Frampol. Miało to z jednej strony ułatwić ocenę tej próby, zaś z drugiej, dać dowód na skuteczność działania użytych bomb. Jedno jest niewąt-pliwe — Frampol został zbombardo-wany nie z konieczności wojsko-wej, lecz wyłącznie dlatego, że stanowił wygodny obiekt doświad-czalny.

Swego czasu polskie czasopismo „Przegląd” zrobiło wywiad z pozo-stałym przy życiu byłym miesz-kańcą Frampola. Potwierdził on, że bomby burzące i zapalające, padły w dniu 13 września 1939, po po godzinie 13, przy silnym północ-no-wschodnim wietrze. Pożar omi-ął wówczas tylko jedną uliczkę, na północno-wschodnim skraju mia-steczka...

9 „Freie Welt”, Berlin, nr 34196.

Wiesław Sadurski Wiersz prostoduszny

lata rozdzielające lot obłoków
lata lewary dźwigające niebo
lata bez chleba lata suszy
w locie wstrzymane
nad raną

nie będą miały dostępu
do tego co pokochałem
przeminać lecz nie przemienie
nim czas mnie zamknie w dloni
wplynę w nie całą krewią

nie ma prawdy jedynej
dla tych którzy są żywi
skoro mamy żyć w mroku
trzeba ujawnić siły
które się żywią ciemnością

trzeba nam nowych oczu
nie ran otwartych lecz oczu
które zaprzeczają winom
w mówionym odziedziczonym
które nas opramiennią
ufanością do własnych pragnień

trzeba iść pośród innych
pod rozwiniętą zorzą
ze wszystkich przeszłych lat
tu gdzie jesteśmy samotni
z jedynym sercem na ziemi

czekają na nas nowe
zgodziliśmy przyszłe poranki
wabią nasze umysły
obymy uwierzyli
w odmiennosc naszej śmierci

nie będzie miała dostępu
do tego co pokochamy
miniemy lecz nie przemienie
z otwartych tętnic czasu
wypłynę nasze cierpienie
krzepnąc nieśmiertelniejąc

w starym pięknie śmiertelnych
Warszawa

Andrzej Samson Bajka

Patrz to dla nas
ustawiają
z martwych rzeczy
pejzaz śliczny
ci faceci
co sprzedają
papierowy śluz
liryczny

Przykleimy się
do siebie
na tym tle
w miłosnej scenie
aż nas przyjdzie
i pogrzebie
zapłacone ukojenie

W jeden znaczek
się zlejemy
w nasz wzajemny
fiat kruchy
i lirycznie nastrojeni
przeżyjemy
swe odruchy

Tylko potem
nie tup nogą
bo wyleją
z czarnej dziury
przykucniętej
nad podłogą
nasze kłamstwo
ryżę szczyry

Warszawa

Henryk Kozak Stary człowiek mówi

Byłem biedny
lecz kochano mnie
i ja kochałem

W snach byłem wszystkim równy

Często wychodziłem
nad łagodny brzeg rzeki
w wysokie trawy
sam z ciszą moją

Lecz dziewczyna umarła
rzeka zmieniła koryto
wysokie trawy skarłoty
i sny już się nie śnią

Włodawa



MÓC ZABIĆ I CHCIEĆ ZABIĆ

Dokończenie ze str. 1

patrząc się tańczącym. Dokumentacja techniczna mówi w każdym razie o rozwalonym płocie w obejściu Oldaka, o leżących tam bezładnie kamieniach polnych i drewnianych kołkach. Od początku też wiadomo, że Czerwiński wraz z czterema kolegami wypili wódkę, zanim zjawili się na weselu, by dołączyć tu do nie zaproszonej, ale będącej „w prawie” zwyczajowym, kawalerki.

Potem, w czasie wstępnego przesłuchania, kiedy Czerwiński leży w szpitalu, młodzi jego towarzysze „weselni” będą najczęściej zeznawać: „słyszałem, jak chłopcy mówili, że Czerwińskiego pobili Oldak, lecz kto to mówił, tego nie wiem”; albo: „odszedłem na bok, ponieważ mnie zdziwiło, i poszedłem zymiotować do odległych krzaków siedem metrów. Tam też w tych krzakach usnąłem, a przebudziłem się, aż było rano. Tak że ja w ogóle nie widziałem żadnej bójkii, kto z kim się bił, byłem kompletnie pijany i mało co pamiętam”.

W ogóle wieś zeznaje zagadkowo lub sprzecznie. Podobno jakies zamieszanie zaczęło się wpiwer w Oldakowej zagrodzie, podobno jacyś „nieznani osobnicy” równocześnie łamali Oldakowy płot, podobno ktoś z drogi rzucił kamieniami w zaproszonych gości weselnych, podobno Czerwiński stał wśród kolegów przy drodze, podobno nie stał. No i jakaś szamotanina wywiązała się na drodze między kawalerką — „ja szarpałem się z S., ale bez żadnego powodu, myśmy się tylko popychali”. Podobno Oldak z drugim wyskoczył z kółkami na drogę robić porządek, albo bez kółków zobaczył jedynie, co się dzieje. Ten drugi, zresztą chrzestny córki Oldaka, podobno tylko powiedział kawalerce: „co wam płot jest winien, czego łamięcie, chcecie potaćzyć, to chodźcie, a chcecie coś wypić, to wyślijcie jednego do gospodarza i wam da”, oni zaś obrzucili go kamieniem. Podobno Oldak został wtedy uderzony w nogę, więc zawrócił na podwórko — zaświadczenie szpitala powiatowego stwierdza u niego pourazowy wylew krwi na lewym podudziu, „co naruszyło funkcję ciała na okres czasu dni 20-stu”, podpisał „chirurg-ginekolog”. Podobno Oldak wówczas w ogóle nie wychodził z chałupy weselnej, a wypił jedynie dwa kieliszki wódki — zdrowy 46-letni mężczyzna na we-

selu własnej córki. Sam Oldak twierdzi ostatecznie przy swej niewinności: wyszedł z kółkiem na drogę, dostał kamieniem, wrócił na podwórko.

Sześciu bezpośrednich świadków, mniej może podczas zajęcia pijanych niż reszta, którzy nie wklajają się w zeznania, podali konsekwentną i zgodną wersję o tym, co robił Czerwiński, i o tym, jak Oldak uderzył Czerwińskiego, a Czerwiński padł. Inaczej przewod i rozprawa długo mogłyby się obracać wokół koloru koszuli oskarżonego — wyszedł Oldak na drogę albo nie wyszedł, a skoro wyszedł, w takim razie, co miał na sobie: marynarkę i koszulę czy tylko samą koszulę, a jeśli samą koszulę, to jaką koszulę i czy można ją było zobaczyć, a jeśli i marynarkę, to jaką marynarkę oraz czy można ją też zobaczyć, czy nie on, świeciło się czy nie świeciło? Byłby poszkodowany, nie byłoby winowajcy. Gdyby nie ujawnienie tych paru rozsądnych świadków...

Sąd powiatowy — na podstawie materiałów dochodzenia i śledstwa oraz konfrontacji i przesłuchania oskarżonego, poszkodowanego i świadków — ostatecznie ustalił, co następuje: dn. 16 IX 1967 r. późnym wieczorem Czerwiński, spożywszy uprzednio wraz z czterema kolegami alkohol w ilości 1 l wódki i 1/4 l spirytusu, przyłączył się do grupy młodzieży stojącej na drodze przed budynkiem Oldaka, gdzie odbywało się wesele. W jakiś czas potem złe samopoczucie spowodowane wypitym alkoholem sprawiło, że Czerwiński położył się w pobliższej kopie siana, skąd mógł obserwować wydarzenia na drodze. Później jakies osoby spośród grona przyglądających się zabawie rzucali kamieniami, co Czerwiński mógł przeoczyć, jeśli akurat zasnął. Około północy, widząc, że jego koledzy rozpoczynają szarpaninę między sobą, wstał i zaczął ich godzić. Wtedy właśnie Oldak, nadchodzący z kółkiem w rękę, a odrzucony awanturą wywołaną przez nie zaproszonych gości, mocno i niespodziewanie uderzył Czerwińskiego kółkiem w tył głowy, w wyniku czego ten ostatni stracił przytomność.

Na tym nie koniec ustaleń i poczynań sądu. Nie przeczy wszak owo, bądź co bądź, zasadniczym ustaleniom, ani w czymkolwiek nie osłabia lub podważa winy oskarżonego, prawdopodobieństwo, iż — niezależnie od zeznań Czerwińskie-

go i Oldaka — ten pierwszy mógł nie spostrzec, kto go uderzył, skoro ciós został zadany niespodziewanie i z tyłu, Oldak zaś mógł w ogóle nie pamiętać, że uderzył lub kogo uderzył, jeśli był zupełnie pijany. W każdym razie sprawa między dwoma mężczyznami, zainicjowana tamtej nocy i następnego dnia, kiedy Czerwiński trafił do szpitala, zaś Oldak zostaje zatrzymany, a potem aresztowany, sprawa między dwoma ludźmi, którzy nie nigdy do siebie nie mieli, ale z których jeden wyrządza krzywdę drugiemu tylko dlatego, że ten drugi, najmniej czegośkolwiek winny, przypadekowo znajduje się najbliżej pod ręką, sprawa wreszcie, której ogólniejsze przyczyny tkwią znacznie głębiej niż w zbiegu „weselnym” okoliczności, ta więc historia — choć w momencie stwierdzenia przez sąd rudymenarnych faktów właściwie dopiero dla oficjalnej sprawiedliwości rozpoczęta — zawiązała się wtedy, podczas przewodu, i potoczyła między Czerwińskim i Oldakiem już na dobre, a raczej na złe, by przez pewien okres częściowo żywić się i podsycać funkcjonowaniem maszyny prawnej, a później szybko pójść własnym, całkiem odrębnym lożyskiem.

17 września 1967 r. rozpoczynają się dzieje choroby, a potem ciężkiego kalectwa Czerwińskiego, równocześnie dzieje człowieka, który stracił wszelkie szanse życiowe, a zyskał poczucie niezawinionej krzywdy. Od 17 IX do 11 X 67 r. przebywa w Państwowym Szpitalu Klinicznym nr 1 w mieście wojewódzkim Okres 11 X — 2 XI 67 r. spędza tamże w Państwowym Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych, gdzie wystawiają diagnozę: „Stan po urazie mózgu z krwiakiem śródmózgowym. Niedowład połowiczny lewostronny. Ecefalopatia pourazowa. (...) Chory wymaga dalszego leczenia szpitalnego, które potrwa jeszcze około 2-3 miesięcy”. Od 2 XI 67 r. do 11 V 68 r., jako żołnierz, przebywa w szpitalu wojskowym na leczeniu rehabilitacyjnym: wyciąg z historii choroby: „w chwili obecnej trudno jest wypowiedzieć się o rokowaniu odnośnie wyleczenia — wydolności fizycznej”. (27 XI 67 r.).

W tak zwanym międzyczasie Czerwiński składa zeznanie, staje też jako świadek w kolejnych etapach rozprawy przeciw Oldakowi. Dnia 20 XII 67 r. zapada wyrok sądu powiatowego. Oskarżonemu z art. 236 § 1 litera „a” obowiązującego wówczas kodeksu karnego sąd wymierza 4 lata więzienia (z zaliczeniem aresztu) oraz — uznając powództwo cywilne dołączone przez adwokata Czerwińskiego do sprawy karnej — 50 tys. zł tytułem odszkodowania na rzecz Czerwińskiego. W uzasadnieniu wyroku mówi się m. in. o „społecznej szkodliwości czynu”, „szerzeniu się tego rodzaju przestępstw oraz braku jakiegokolwiek skruchy oskarżonego”. Odpowiedni artykuł w kodeksie karnym: „Kto powoduje

JADWIGA

Mirosław Derecki

PEWNEGO grudniowego dnia roku pańskiego 1681 w Lublinie panowało wielkie podniecenie. Ku bloniom podmiejskim ciągnęły bryki wypełnione szlachtą i co znamienitszymi przedstawicielami stanu kupieckiego, wśród których widział się również obokrajowców — Angielczyków, Francuzów i Italianów tutaj osiadłych i handlem się trudniących. Na piechotę, wielkimi gromadami, waliło pospólstwo obojej płci. Z bram klasztornych, z kościelnych wierzeli wychodzili szeregi duchowieństwa. Wszyscy dążyli tam, gdzie nad głowami rozfalowanego, podkaszycowanego tłumu wyrastało wysokie, drewniane rusztowanie, spowite czarnym kłrem. Rusztowanie kończyło się rozległą platformą. W jej centrum stał niski, drewniany pień, obok leżały narzędzia tortur.

Nie było jeszcze Mistrza wykonującego wyrok ani ofiary dzisiejszej kaźni, jeszcze nie przybyłi członkowie prześwietnego Trybunału lubelskiego z Piotrem Opalińskim, wojewodą leżycykim, marszałkiem trybunalskim na czele, którzy wyrok wydali i zatwierdzili. Toteż gawiedź skracala sobie chwile oczekiwania bądź pogwarkami na temat poprzednich, podobnych tej — ceremonii, bądź śpiewkami nie zawsze najbardziej obyczajnymi. Inni nerkowali w tłumie w poszukiwaniu

krewniaków i znajomków, ażeby egzekucję wspólnie oglądać. Od grupy do grupy krążyli przekupnie, różne smakoliki ofiarowując, a gdziegdzie, na bryce, już szpunt z antalka wyskoczył i wino lub piwo lalo się do podstawionych garnków. Wszystko to przypominało atmosferą raczej odpustu lub festyn jakowyś. Ale też takie obyczaje w owych czasach panowały i na krawie widowska patrzono jak na teatr, o tyle ciękawsze, że rekwizyty w nim używane były prawdziwe, a po zakończeniu przedstawienia główny bohater nie szedł na piwo do pobliskiego szynku, lecz pozostawał na miejscu, rozdzielony katowskim mieczem na dwie części.

Dzisiejsze widowisko tym większe budziło zainteresowanie, że stanowiło ostateczny akord sprawy, z jaką Trybunał nie mógł się przez długi czas uporać, przyznając rację już to oskarżycielom, już to oskarżonej — Jadwidze Machównie z Kolbuszowa. Jeszcze rok temu to trzydziestoletnia kobieta o nieprzeciętnej urodzie, która na najprzedniejszych dworach europejskich bywała i o której wdzięki ubiegali się znamienici „kawalerowie” — została wyrokiem tegoż lubelskiego Trybunału oczyszczona od wszelkich zarzutów i na wolność wypuszczona. Mingło jednak zaledwie kilka miesięcy, a już jej wrogowie zdolali zebrać nowe materiały obciążające, uknuć misterny podstęp, który Jadwidze — w efekcie — zawiódł na szafot.

Gdy trębacz na Bramie Krakowskiej odtrąbił południe, z czeluści bramy miejskiej wychynał długo oczekiwany orszak. Na jego czele postępowali członkowie Trybunału, potem szedł Mistrz z pomocnikami, wreszcie toczyła się dwukółka, na której, w śmiertelnej koscziuli i ze skutymi rękoma, siedziała skazana. Obok wozu postępowal z krzyżem w dłoni ksiądz Żorawski, udzielałcy Jadwidze ostatniej pociechy. Wszystkich otaczał silny kordon z pacholków miejskich złożony. Nie raz i nie dwa drogie orszakowi torowali, bo ciżba napierała ze wszystkich stron, a chwilami tak wielki się tumuł czynił, że pacholkiowie musieli drzewca halabard w ruch puszczać, aby powłoka cielenas sędziów na szwank nie była wystawiona. Ostatnia przeczka w końcu stawiana przeznaczona jej miejsce, a kat już bez żadnych przeszkód wykonał wyrok. Jadwiga Machówna z Kolbuszowa została skazana za udowodnioną jej zbrodnię wielożenstwa na odciecie piersi kłeszciami, a następnie na ścięciu mieczem i tak się stało.

Nie pierwszy już raz — jak się rzekło — oglądał Lublin podobne widowisko. Wszak zaledwie rok wcześniej stracono tutaj niejaką Katarzynę Karwatową, którą oskarżono o czary, a przede wszystkim o to, że „posyłała syna swego pod szubienicę, aby powrozy zbierał tych, które odpadają z szubienicy od złodziejów”. Jak wiadomo, istnieje do dzisiaj pogląd, że sznur wisielca przynosi szczęście. Przypadek Karwatowej dowodzi dosadnie, że jest on niesłuszny. W roku 1630 skazano na stos świętokradkę Mateusza, który jednak przed tym był na lubelskim rynku szarpany rozpalonymi kłeszciami. W 1641 roku sąd wójtowski ławnicy skazał na ścięcie niejakiego Simona Pictora oraz jego kochankę, wdowę co prawda, ale żyjącą z nim bez ślubu, w związku „nieczystym”. I nie to sędziów nie obchodziło, że skazani pozostawiali szesnaścioro dzieci, połowę zrodzonych ze związków legalnych, a osmiro „spłodzonych w rozpucie”. Podobnie, u podstaw sprawy Reginy Sokolowskiej, oskarżonej w 1661 roku o czary, stała troska rajców miejskich o czystość obyczajów. W uzasadnieniu wyroku z 1662 r., skazującego ją na tortury z aplikacją ognia a następnie spalanie na stosie, mowa jest przede wszystkim o tym, że „przed poślubieniem męża swego Stanisława Stelmazka sprawowała się niepoczciwie, nie podług panieńskiego

stanu swego, miała z nim porozumienia i z pomocą danego jej napoju pozbyła się plodu”. Dodatkowo winą Sokolowskiej było to, że gdy „Stelmazek (...) nie chciał się z nią żenić, palizła razem z babą Baranową i innymi sznurek z spodnich męskich rzeczy, żeby zaczarować chłopca”.

Wprawdzie Jadwidze Machównie nie próbowano nawet udowodnić czartowskich praktyk, ale aż nadto do skazania jej na okrutną śmierć wystarczył sędziom fakt, że prowadziła się „nieobyczajnie”, co więcej: była już nie tylko bigamista, ale „poligamista”. W szerególny sposób jej przypadek sódził w zasady wyznane przez ówczesnych rajców miejskich, Lublin miał bowiem własną praktykę prawa małżeńskiego. Wprawdzie przez palce patrzone, gdy mąż katawał swą małżonkę szczególnie gdy był „habilis”) i skazywano go na karcer tylko wówczas, jeśli czynił to systematycznie, ale w przypadku zdrady małżeńskiej prawo występowało z całą surowością i jeśli ktoś „na tym spróbnym i wstydlwym uczynku” został przyłapany, dawał gardo „aby takowe rzeczy na potom się nie działy”. W takim kontekście bigamia była grzechem wołającym o pomstę do nieba. To wszystko działo się w latach, gdy Lublin należał do przodujących ośrodków miejskich Rzeczypospolitej, tak w dziedzinie gospodarczo-społecznej jak politycznej i reformacyjno-kulturowej.

Fakt, że czasy powstania Chmielnickiego, a następnie szwedzkiego „potopu”, przyczyły się do podupadania miasta, a przez to tym śmielszej dochozdzia do głosu wszelka ciemnota, ale na przyczyny owych surowości obyczajów i krwawych kaźni warto spojrzeć jeszcze z innej strony. W połowie XVII stulecia utrzymywał się stan wielkiego napięcia między radą miejską a pospólstwem. Rada bezprawnie zarządzała majątkiem miejskim, rozdajac kramy, place i grunty miejskie osobom najmniej do tego uprawnionym. To godziło w interesy pospólstwa. Zarządzi zastrzyży się do tego stopnia, że w 1680 r. sprawa znalazła się w sądzie zaawdornym. Bardzo możliwe, iż stosując „reim obyczajowy” rajcy miejscy starali się w ten sposób szachować swych oponentów, a krawie widowiska miały na celu rozładować „stany namiętności” i skierować uwagę pospólstwa w inną stronę. Przy takim założeniu rewelacyjną rolę na owe czasy sprawa Jadwigi Machówny nabierała jeszcze dodatkowego nosmaku.

A sprawa Jadwigi z Kolbuszowa jest również niezwykle, jak niezwykle był bieg życia tej kobiety. Śmiało można ją zaliczyć do największych ówczesnych „awantur” europejskich. Nieszczęściem jej było, że w pewnej chwili trafiła właśnie do Lublina. W każdej ze stolic europejskich finał jej przygód

miałby z pewnością odmienny, bardziej szczęśliwy charakter.

Naprawdę imię jej brzmiało Agnieszka, ale ponieważ do literatury trafiła pod mianem Jadwigi z Kolbuszowa — pozostaliśmy przy Jadwidze. Zresztą w swoim życiu tak łatwo zmieniała imiona i nazwiska, że ta sprawa wydaje się rzeczą najmniej istotną. Tak więc Jadwiga pochodziła ze stanu „podłego”. Urodziła się na wsi, z ojca Macha, dobosza z Dubna i matki Agnieszki, wieśniaczki kolbuszowskiej. Jak przystało dziewczynie z jej stanu, swoją karierę życiową zaczynała od doglądania krów i owiec. Rodzice byli biedni i najprawdopodobniej bydlę, które pasala, należało do ludzi obcych, być może do dworu. W jej środowisku początek „kariery” był równocześnie jej końcem, w owych czasach pasterkki nawet nie marzyły o królestwach z bajki. Naturalną koleją rzeczy, po dojdzie do odpowiedniego wieku, rodzice wyszukiwali córce męża z tego samego stanu i najczęściej również biednego, a o dodatkowej karierze można było mówić jeśli ów wybraniec nie był żony przy każdej okazji. Jadwidze wypadło związać się małżeńskim węzłem z kozakiem Bartoszem Zatorskim. Był to dla późniejszych losów Jadwigi fakt o znaczeniu przełomowym. Małżeństwo z Zatorskim wyrwało ją z własnego środowiska i stawiało o stopień wyżej w gradacji społecznej i o stopień, z którego mogła już wieść drogą na wyższe stopnie, równocześnie zaś fakt zawarcia tego małżeństwa będzie stanowił po wielu latach korony atut oskarżenia w procesie lubelskim.

Małżeństwo z kozakiem, człowiekiem wolnym, przede wszystkim wyrwało Jadwidze z kręgu poddaństwa. Jeśliby nawet nie wiązały się z nim wartości materialne, Jadwiga wchodziła w świat ludzi wolnych. To już była rzecz bezcenna dla kolbuszowskiej wieśniaczki.

Wysoka, smukła, odznaczala się niezwykłą pięknością, szlachetnością rysów, bardziej upodobalajaca ja do szlachcianki i to wysokiego rodu niż do prostej chłopki. Posiadała również jakiś szczególny urok zniewalajacy mężczyzn, przyrodzona

Bibeloty i rakiety

Maria Bechcyc Rudnicka

PO „Kordianie”, Czechochowiczowskim „Czasu jutrzejszego”, w przededniu „Kto ty jesteś?” Brylla — „Śluby panięskie”. Oto relaks nie tylko dla widza, ale i dla recenzenta: nie obrazi przecie tych lamów analiza sztuki znanej wszystkim niemal z czasów ławy szkolnej. Tedy mówimy o samym spektaklu, co zresztą w recenzjach wydaje się ludziom teatru za najbardziej celowe.

Jakież są te „Śluby” pokazane jesienią 1970 r. na scenie im. J. Osterwy w Lublinie?

Ano w przybliżeniu takie, jakie wyszły „pod pióra Aleksandra Fredry w roku 1833.

Czy to dobrze? Czy to źle?

Otóż praktyka wykazała, że nie w teatrze nie może się tak okrutnie na adaptatorach, jak dobra komedia klasyczna z gęstym dowcipem słownym. Powiedźmy dla przykładu — komedia molierowska, fredrowska, „Revisor”, komedia Czechowa, Zapolskiej... Nie znoszą one przybudówek „stylizacji”, natłoku różnych fantyluszek teatralnych. Gwałtownie w swej naturze, komedie te tracą niechybnie humor.

Zdarzyło mi się kiedyś oglądać „Szelmostwa Skapena” z dopisanym prologiem, z intermediami czy interludiami. Całe szczęście, że obce wtręty nie przenikały do samego miąższu Molierowego tekstu. Rezultat był przynajmniej kompromisowy: interludia nudziły, Molierowi bawili. Gorzej stało w wypadku, gdy usiłowano postawić na głowie „Świętoszka” zamieniając Tartufla w playboya. Rozłożyło to kompletnie jego wielką scenę z Elwirą.

I właśnie na odwrót — kto miał sposobność zobaczyć „Grzegorza Dymała” w wykonaniu zespołu Planchona, niech zechce sobie przypomnieć, jaką rewelacją okazało się, rzec można — „zeskrobanie” różnych nawarstwień stylizacyjnych z tragikomicznej prawdy

życiowej utworu — jak podniosło jego rangę. Ujrzelśmy nagle kawałek przedrewolucyjnej wsi francuskiej, w gąszczu swych kłopotów gospodarczych, Grzegorz przestawał być tylko śmiesznym rogiaczem.

A sięgając bliżej, wystarczy przytoczyć niedawne gdańskie przedstawienie „Zemsty”. Całe gremium sesji wyjazdowej Klubu Krytyki Teatralnej szczerze się na nim bawiło, choć zabiegi modernizujące sprowadzały się do ustawienia między siedzibami Cześnika a Rejenta — drewnianej szopy na siano (prawdę powiedziawszy, w niczym ona nie pomagała ani przeskądzać).

Nie istnieje chyba na świecie komedia, której adaptacja mogłaby być tak werytutnym nonsensem, jakim byłoby dziś modernizowanie „Ślubów panięskich”. Bo i cóż tu „przybliżyć do nowego widza”?

Jeśli w okresie międzywojennym istniały jeszcze relikty choćby norm towarzyskich świata Fredry, to ostatnia wojna zmiotła ten świat z powierzchni ziemi definitywnie. Stare zamieniło się w antyk. A oko nasze, wladomo, lubuje się w antykach. W lampach naftowych, w mosiężnych modzierzach, co dopiero powiedzieć o frymuśnych figurkach porcelanowych, zwłaszcza gdy ozywają niedgdyjszym życiem.

„Śluby panięskie” wystawione obecnie na scenie Teatru im. J. Osterwy są po fredrowsku żywe. Nie ma tu wydumanego stylizowania. Po prostu akcja toczy się wartko, sytuacje — pomysłowe, aktorzy grają z humorem, podając dowcip słowny wyraziście. Sukces to nie mały, gdyż „Śluby” nie są bynajmniej samograjem, czego dowodem fakt, że w rolach młodzieńczej Anieli i Klary obsadzano często i wybitne artystki z długim stażem scenicznym.

Reżyser spektaklu, Edmund Pietryk, zarazem literat i aktor, obrał najwidoczniej za zasadę trak-

owanie tekstu książki z należytym pietyzmem i... pieszczotliwym stosunkiem do kolegi-aktora. Jak się rzekło, nie ma w jego „Ślubah” wprowadzanych gwałtem innowacji. Dyskretne novum polegało na tym, że uwydatniono istnienie trzeciej pary romantycznej — Radosta i Dobrońskiej (bo „coś to nie rdzawieje”). Zabieg był odkrywczo nieskomplikowany; odmłodzono Radostę, obsadzając w roli — aktora atrakcyjnego, Krystyn Wójcik — gra wytwornego starszego pana, całkiem jeszcze „do wzięcia”, wujaszka raczej ironicznego niż szrednego.

Pani Dobrońska żadnej reformy nie wymagała, mało bowiem w Polsce aktorów, które by porwoliły narzucić sobie interpretację tej postaci jako zrezygnowanej matrony, i szlachnie, ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa matka Anieli może mieć lat (zaledwie!) trzydzieści pięć. Zofia Siedzińska gra więc damę „jeszcze” powabną, parującą się mentorstwem nie z powstania, lecz z nakazu ówczesnego kodeksu rodzinnego. Toteż, kiedy reżyser stawia kropkę nad i, każąc, by szalupat Gućto połączył dłońe tej „nie-co” starszej pary (proszę zwrócić uwagę na dowcipne odwrócenie ról opiekunów), staje się to niewątpliwie z aprobatą widza, a i Fredro, wielki znawca dusz, szkody nie ponosi.

Jak się z kolei prezentują najmłodszą osobę spektaklu — młode młodocia, o której dół pamięć zanika?

Edwin Pietryk wydobyl z postaci Gućta cały salonowy charme uodzieleki. Ma elegancką sparycję, zachowuje się z nonszalancją w granicach dobrego wychowania. O głębsze zapaly miłosne raczej trudno go posadzać. Mniej karykaturalnie Izawego Albina nie zacytował, pokazał Henryk Sobiechowski, który miał chustki trzymać w rękach kieszki z jabłkami, a zniechęcony przez Klare zdobywał się na tupiecie nogą — taki sobie gniew bożej krównki. Bardzo komicznie postarza Sobiechart nauki Gustawa.

Ewa Wolf (Aniela) i Justyna Mozgówna (Klara), występujące na scenie lubelskiej po raz pierwszy, oddały w służbę powierzonych im postaci wdzęk autentycznej młodości i niewątpliwie już rozkwitające talenty aktorskie. Tworzą trafnie skonstruowaną parę kuzynek-przyjaciółek, rozstrzygających się w powieści „Meza Klaryndy życie wiarołomne”.

Wrestle Maciej Polaski tym razem jako stary Jan, nie omieszkali wyznać się dowcipem, skoro nadarzyła się ku temu okazja.

Na specjalną uwagę zasługuje inwencja, z jaką E. Pietryk każe „ogrywać” rekwiizyty („przechodni”) kłębek zielonej włóczki, zagrożenie ogromnymi nożycami ogrodowymi, skrzyżowane do przysięgi parasolki...

Wyrażaliśmy niedawno uznanie Jerzemu Toronczykowi za scenografię do „Czasu jutrzejszego”. Oprawa sceniczna „Ślubów” zdradza, niestety, pewien brak stylowej konsekwencji. Niezależnie od tego mankamentu jest funkcjonalna.



Państwowy Teatr Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena, Stanisław Lem — „Eden”. Adaptacja Andrzeja Rohlina.

Fot. A. Polakowski

DWRÓCIŁAM w reżen kolejności premier. Zanim w Teatrze Osterwy przy dźwiękach pozytywki wytworzył się chwilowo fredrowski

nastrój, w gmachu po-dominikańskim na Starym Mieście z hudem wyleciała w kosmos rakietą międzyplanetarna. Kierownik Akademickiego Teatru UMCS, Andrzej Rohlin, zaadaptował powieść Stanisława Lema „Eden” dla Teatru Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena i adaptację wyreżyserował.

Tutaj — scenografia wypracowana starannie do ostatniego zamka blyskawicznego. Wiadomo, autorami opracowania scenograficznego — Elżbieta i Leon Barańscy. Są dziś scenografowie lubujący się w scenie ogolonej i wszelkiego

sprzętu. Barańscy należą do tych, którzy wolą scenę auto zastawioną. Wyprawa w przestrzeń kosmiczną dawała im sposobność do rozpatrania istnej orgii butaforskiej. Zrobili to z włączoną sobie pomysłowością. W kabine kosmonautów — imponującej „sprzęt turystyczny” tudzież śmilla tajemniczej dla laika anaratury. Raz po raz zapalają się światła sygnałne, w które wplisone jest rozgorączkowany wzrok młodocianych widzów.

Powieść „Eden”, dostarczając scenie ciekawego tworzywa, stawia jednocześnie adaptatorowi niebagatelne opory. Mało w niej dialogów, a przede wszystkim, bądmy szczer-

Dokończenie na str. 10

Pruszyńskiego nauki z historii

Dokończenie ze str. 1

na przykładzie legendy dalekiej Samarkandy, z podobną konstrukcją fabuły mamy do czynienia w utworach „Gwiazda wytrwałości”, „Porzucona książka” i innych.

Historię traktował Pruszyński w myśl sentencjonalnego ujęcia, że jest nauczycielką życia. Ten dydaktyzm dzieł autor „Pamiędzy wilki” został jednak zwielokrotniony, nabral niemal demonicznego znaczenia. I chociaż pisał, że historia nie powtarza się niewolniczo, cała jego twórczość przesycona została obawą przed powtórzeniem przez Polaków starych, historycznych błędów. Oto kilka przykładów z utworów literackich i publicystycznych. W 1934 roku pisarz zwiędził rokokowy kościół w bawarskiej miejscowości Wies. Zetknął się tam ze zwyczajem składania w kościele fotografii zmarłych osób. Największą ilość stanowiły pamiątki po młodych żołnierzach, którzy zginęli na różnych frontach I wojny światowej. Jedną z tych podobizn, przedstawiającą młodego Kurta Laubego, zabrał Pruszyński ze sobą. Jak pisał ani na moment nie (myślał) wtedy (...), że nie jest to jeszcze (dla niego) nie zakończona historia. Nie zakończona, bo pod Narvikiem przy zestrzelonym z drzewa niemieckim snajperze znalazł pocztówkę kościółca w Wies, a zastrzelony był synem tamtego. Oczywiście nie chodziło w opowiadaniu o dość banalne dzieje fotografii, ale o historyczną wymowę tych dwóch niepotrzebnych śmiertel, w dwóch wywołanych przez imperializm niemiecki najkrwawszych wojnach świata.

Ten sam problem nurtował twórcę w pierwszym jego utworze literackim, powieści pt. „Droga wiodła przez Narvik”. Autor w śle

lteracko zbudowanym, ale historycznie przebogatym dialogu między Niemcem Gallenem i Polakiem Kettlerem poruszył problem niemieckiej zaborczości. Jeśli jednak w „Człowieku z rokokowego kościółca” wnioski z historii pozostały czytelniczej domyślności, to w „Drodze” wypowiedział je z reporterką pasją: Ty wiesz — mówił Polak do Niemca — że taka chwila będzie i mnie to trzyma. I wy wszyscy, Niemcy, wiecie, że tak będzie i to nęka was po nocach i dniach, mimo wszelkich sukcesów, mimo wszelkich czolgów, mimo wszelkich Leopoldów, Hachów, Quislingów, Tisów. I my wszyscy, Polacy, wiemy, że tak będzie, i to nas trzyma mimo wszystko, co było, co jest i co będzie”.

W kategoriach historycznych Pruszyński ustosunkował się również do zachodnich sojuszników Polski. Podstawowa teza autora „Trzynastu opowieści” w tym względzie brzmiała, że dla Zachodu sprawa Polaków zawsze były tylko kartą przetargową w osiągnięciu własnych celów. Drugą wymową posiada opowiadanie „O głowie murzyńskiego króla”, w którym pisarz z nie ukrywaną ironią i sarkazmem przyrównuje funkcję mitu niepodległej Polski w rękach Francuzów i Anglików do roli znumifikowanej głowy murzyńskiego króla, o której odzyskanie kazano się bić na frontach europejskich nie mającym żadnych interesów w tej części świata Murzynom. Nic się nie zmieniło — zdaje się komentować Pruszyński — tylko szlacheckiego bohatera Krzysztofa Cedrę wymienili na dziejowej drodze ludowy bohater Wojciech Lendzioch:

Odbiliśmy dwie deflady przed generalami francuskimi, których kępi kapalo od złota, a siwe bródki przypominały capy, otrzymaliśmy sztandar z Matką Boską, wyhaftowany przez dobre panie z miasta o zapomnianej przez mnie nazwie, francuska orkiestra zagrała nasz

hymn narodowy, a przed frontem naszych oddziałów przeszedł nasz Prezes Komitetu Narodowego i Prezydent Republiki Francuskiej. Był zupełnie taki jak na fotografiach. Pan wie, jakie ja mam długie włosy. To może one zwróciły jego uwagę, bo powiedział coś o Sobieskim i zapłotał, skąd jestem.

„De Wolle” — huknąłem — „Mon président”.

Prezydent się umiechnął, a jeden polski major, co za nim biegł, elegant taki, syknął do mnie: „Votre Excellence”, co jednak nie miało znaczyć, że ja jestem Ekscelencja, ale że do prezydenta trzeba mówić Votre Excellence”.

Niech nas nie myli rubaszny ton relacji w stosunku do opisu w „Popiołach”, sens jest taki sam. Publicystycznie rozprawę z mitem bezinteresownej przychylności i przyjaźni Zachodu wobec Polski przeprowadził w wielofunkcyjnym eseju „Margrabia Wielopolski”. Komentując zawarty po wojnie krymskiej pokój i zupełne milczenie w sprawach Polski, autor pisał: Szumne, liczne i wielokrotnie obietnice wojenne aliantów zachodnich raz jeszcze w historii — nie ostatni niestety! — zamarył jakoś bez żadnego śladu w przedpokojach gabinetów, gdzie omawiano i podpisywano warunki pokoju”.

Koniec milionej wojny dostarczył nowych argumentów usprawiedliwiających sarkazm tej wypowiedzi. Jeszcze trwała wojna, dymiała Warszawa, hitlerzy nie chcieli kapitulować, ale dla Anglików sprawa polska zaczynała być już krepująca. Literacki kształt nadal Pruszyński temu w utworze „Pamiędzy wilki”. Niestety — pisał — tak się stało, że w środę były debaty parlamentarne w Londynie, dyskusja zahaczała o sprawę polską i przy tej okazji z ust wielkiego alianckiego męża stanu padły pod adresem jego polskich sprzymierzeńców słowa, których żaden historyk brytyjski nie uzna za godne brytyjskiego honoru. Błąkał jedynie, że był to polityk przewidujący i że już wtedy, kiedy wojna trwała jeszcze, myślał o przyszłych niemieckich sprzymierzeńcach, którzy na wlekułkiej balance of power będą niebawem potrzebni i wobec których ci Polacy, owszem — nader cenni (latem 1940), mogą być tylko niepotrzebnym ciężarem”.

Pruszyński nie poprzestął jednak na burzeniu tylko prozachodnich

mitów Polaków. Z historii wyciągał (lub przynajmniej usiłował wyciągać) również nauki pozytywne. Przede wszystkim uznał za konieczne ułożenie dobrosąsiedzkich stosunków ze Związkiem Radzieckim. Był to główny temat publicystyki tego twórcy od 1942 roku. I ten problem traktował historycznie, a nie tylko politycznie. W celu przekonania opinii emigracyjnej, że przyjazne stosunki z ZSRR są nie tylko możliwe (o tym przekonał go pobyt w tym kraju i znajomość przychylnie postawy rządu radzieckiego), ale do normalnego rozwoju narodu polskiego konieczne, napisał esej o polityce Wielopolskiego, w którym upatrywał sprzymierzeńca w walce o nowy kształt opinii polskiej w stosunku do wschodniego sąsiada.

Dlaczego jednak na wyraziela współpracy dwóch zwaśnionych nacji przyjął Wielopolskiego? Czyżby nie zdawał sobie sprawy z odmienności odgrzebanych spraw XIX-wiecznych w warunkach, jakie niosło ze sobą dla Polaków bliskie zwycięstwo nad hitleryzmem? Nie należy tak sądzić. O wyborze w głównej mierze zdecydowały względy taktyczne, natomiast różnice ideologiczne i zupełnie różne uwarunkowania historyczne sytuacji zostało świadomie pominięte, powiedzielibym, zaciemnione. Jeśli rozlisteryzowana londyńska kamaryla miała być przekonana za pośrednictwem doświadczeń historycznych, nie mógł Pruszyński tych doświadczeń szukać wśród ruchów rewolucyjnych, ponieważ, jak sam pisał we wstępie do pierwszego krajowego wydania tej pracy, opozycja (...) składała się z prawicowców narodowców; ich własni rodzeni działawie wyrosli w dobre popoustanowienie w kulcie Wielopolskiego, tak samo ich wódz Dmowski. Istotnie przypomnienie Wielopolskiego było dla tych kół wielce niecygodne. Byli i pilsudczycy. Ci znowu pamiętali, że ich wódz był sam wielkim admiratorem margrabiego”.

Mając to na względzie, wydaje się, że próba rozciągnięcia argumentacji Pruszyńskiego, zawartej w „Margrabim”, na jego postawę ideowo-polityczną w ogóle lub posiadanie autora tego eseju, że w powojennych stosunkach polsko-radzieckich przewidywał relacje, które miały miejsce przed powstaniem styczniowym między carską Rosją a narodem polskim, technicznie anachronizmem, jeśli nie świadomą spekulacją polityczną. Warto jeszcze raz po-

wtórzyć, że Pruszyński lat powojennych podkreślał, iż książka ta była tworem pewnego etapu walki o nowy kształt polskiej opinii publicznej: „Margrabia Wielopolski był pisany, publikowany i terestnie wydany w Londynie, w latach 1942—1944. Wtedy właśnie, niezależnie po powrocie z Rosji, dokąd mnie posłał ip. gen. Sikorski, uznano za dziejącą konieczność porozumienie się z Rosją i bodaj jedyną bronią tego programu — nie w okresie, kiedy Armia Czerwona podchodziła pod Berlin, ale jeszcze wtedy, gdy w śmiertelnych walkach zmagała się na przedpolach Stalingradu”.

Spróbujmy podsumować nasze uwagi. Koźniewski sądził, że na tory postępowe sprowadziła Pruszyński niechęć do totalizmu i humanitaryzm, prof. K. Wyka w wstępie do wyboru publicystyki pisał, że „u kresu ideowej i społecznej drogi tego niespokojnego ducha, zrodzonego na pograniczu światów i czasów” stali chlopi. Na inne jeszcze momenty w obszernym szkicu o Pruszyńskim zwrócił uwagę Z. Ziątek. To, co zostało przede mną powiedziane, nie wyklucza uwag podanych wyżej; pokazuje tylko, jak ważny czynnik korygujący poglądy tego pisarza w kierunku postępowym stanowiły doświadczenia historyczne.

Przykłady, które autor „Trzynastu opowieści” podsuwał swoim czytelnikom, nie zawsze najlepiej agitowały za głoszonymi ideami, trakty, którymi chciał wodzić polską opinię publiczną, nie zawsze najprościej prowadziły do Polski Ludowej, ale prowadziły, gdyż na te doświadczenia historyczne, zamkniętych książką wrzesniową, stanowiły dowód, że Polska może się rozwijać tylko jako państwo demokratyczno-ludowe i w przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

Jan Paclawski

I. J. Hen: Pruszyński, „Twórczość” 1960 nr 3 s. 123. K. Pruszyński: Karabela z Meschedu. W-wa 1967 s. 9. 2. Tamże, s. 25. 4. K. Pruszyński: Margrabia Wielopolski. W-wa 1946, s. 9. 3. Tenże: Trzynastu opowieści. W-wa 1942 s. 15. 5. Tenże: Droga wiodła przez Narvik. W-wa 1966 s. 82. 6. Tenże: Trzynastu opowieści, t. w. str. 123. 7. Tenże: Margrabia Wielopolski, t. w. s. 44. 8. Tenże: Karabela z Meschedu, t. w. s. 26. 9. Tenże: Margrabia Wielopolski, t. w. s. 8. 10. Odrodzenie 1947 nr 3 s. 13. 11. K. Wyka: W. K. Pruszyński: Podróże po Polsce. Kraków 1962 s. X. 12. Ziątek: Słuchając oświecony. „Miesięcznik Literacki” 1969 nr X—XI.

O D dłuższego czasu nie wyjeżdżał w teren, co przeszło pół roku a może i dłużej. Po wędrowkach po polnych drogach i dworcach małych miasteczek pozostały tylko wspomnienia. Czasy, kiedy za szczyt elegancji mieszkania uważano wiszący na ścianie portret rodzinny, dawno minęły. Skończyła się po prostu moda, moda złego gustu — jak pisało w prasie.

Ostatnio kpiąco tam na niego patrzono, niczym na zwykłego naśladowcę. Ludzie w wioskach, nie mówiąc o miasteczkach, stali się inni. Owszem, stare obrazy z podobiznami rymianych córki i synów-żołnierzy wisiały jeszcze, ale na dachach chałup wznosiły się również anteny telewizyjne. Wechodząc do tych chałup uśmiechał się do siebie. Ile one kryły ludzkich słabostek: kobiety wielkonose albo krzywobrewne prosiły o zretuszowanie mankamentu w swych twarzach; mężczyźni będący w wojsku prosili o dorysowanie im jednej, tylko jednej belki. Jednak tamto wszystko było dawniej. Teraz wyjeżdżać mu się nie opłacało choćby z tego powodu, że jedno czy nawet dwa zebrane zamówienia nie pokryłyby kosztów biletu kolejowego.

W mieście znów niepodobieństwem od dawna było znaleźć amatora na portret na ścianę. Ale ponieważ nie więcej nie umiał robić i nie potrzebował wykupować biletu kolejowego, wybrał się właśnie tutaj, dwie ulice od swego zamieszkania.

Najpierw to były stare domy, ale po godzinie znalazł się w dzielnicy nowych bloków. Tych jasnych i czystych bloków. Schody tutaj były sporo niższe i wygodniejsze, drzwi w klatkach schodowych więcej niż w starym budownictwie, więc miał ułatwione zadanie w swym mozolnym spacerze. Ale chodząc od bloku do bloku, od drzwi do drzwi, napotykał się ze stanowczą odmową. Był jednak uparty w swym dziwnym uporze. Pod każdymi drzwiami, bo żadnych nie omijał, po naciśnięciu dzwonka odzywało się nieustające — „kto?” — odpowiadał jak automat:

— My tu wszystkich lokatorów odwiedzamy i państwa również...

Po czym wpuszczano go do mieszkania, on zdejmował czapkę; przez włosy przechodziło mu pionowe pasmo siwizny, zastanawiające i dodające jak gdyby czaru, ale nad tym nie bardzo kto się zastanawiał. Więc on stojąc tak z odkrytą głową mówił zawsze to samo:

— Jestem przedstawicielem firmy, która zrzesza najlepszych artystów plastyków, walczymy ze szmirą, tandetą i złym gustem, przejawiającym się często w innych przedsiębiorstwach, często podszywających się pod nas, co oczywiście, jak państwu wiadomo, podrywa nie tylko nam autorytet... I aby uniknąć przykrego nieporozumienia, co należy robić. Proszę zapamiętać, żeby nie było wątpliwości co do tożsamości mojej osoby, a także samo do przedsiębiorstwa, proszę przestudiować moją legitymację.

W tym momencie wyciągał kawalek tekturki ze swoim zdjęciem i stemplem prywatnego właściciela.

Mówił dalej:

— A więc zgadzamy się ze wszystkim, szanowni państwo wiedzą, kto ja jestem... A więc — ciągnął, na nowo nabierając tchu — żyjemy w czasach rozwoju obrzędowej techniki i budownictwa, ale nie trzeba też zapominać o kulturze wnętrza, co jest podstawą, jak państwu wiadomo, do dobrego samopoczucia. Co jest bardzo ważne w naszym stuleciu ciągłego napięcia i nerwowości. Teraz przejdziemy do bardziej zasadniczych i konkretnych spraw. Portrety nasze, jak państwu nie wiem czy się domyślają, są prawdziwymi dziełami sztuki; tak jak kiedyś obrazy znanych malarzy, którzy przeszli do historii, jak Rembrandt, Rubens, Van Gogh, i wielu innych. Odtąd portrety nasze wykonujemy w technice trójbarwowej jak również w technice czarno-białej, portrety pojedynczych osób, małżeńskie, jak i rodzinne. Ale to już od życzenia szanownego państwa, my do niczego nie namawiamy, my tylko proponujemy... Tutaj widzę idealny rozkład ścian — mówił rozglądając się po mieszkaniu wszystko jedno jakim. Mało kiedy zmieniał repertuar wyuczonych i wbitych tak w pamięć słów, że mógłby mówić to samo wyrywany z głębokiego snu.

— Idealny rozkład ścian — ciągnął dalej — i taki portret, który jest naprawdę dziełem sztuki, może gustownie przyozdobić mieszkanie, nadać jemu więcej ciepłego blasku, jak również intymnego nastroju.

A jeśli znajdował fotografię dziecka, najczęściej leżącą na etażerze, szybko chował ją do zeszytu i wyciągał kwit, mówił:

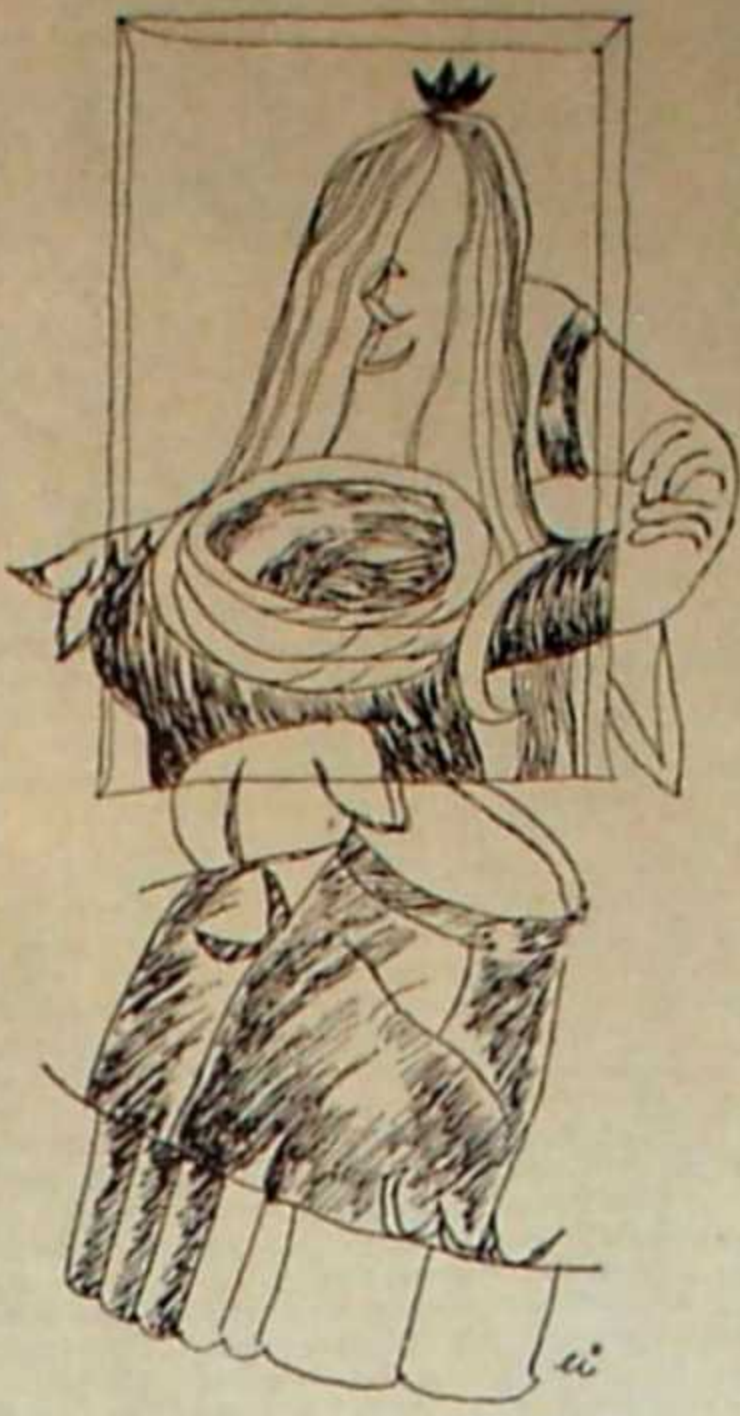
— Portret dla dziecka, proszę państwa, to niezapomniana pamiątka po wasze czasy. Zawsze do tych czasów dzieciństwa najchętniej wracamy, mimo najwyższych stanowisk i urzędów. Dziecko, czyż jest istotą piękniejszą. A proszę pamiętać, co już chyba wspomnieliśmy, nasze przedsiębiorstwo specjalizuje się w portretach dzieci. Odtąd to, i myślę, że nikt nie powinien żałować tych kilku groszy dla dobra własnego dziecka.

Albo mimo tych zabiegów akwizytora, przekonującego głosem, uporem i dosyć dobrego wyglądu, szczególnie z powodu pionowego pasma siwizny na głowie, mówiono — niestety nie skorzystamy, co równało się pokazaniu drzwi.

Nie rezygnował jednak, dzwonił do mieszkań powtarzając wciąż, dziesiątki i setki razy — „My tu wszystkich lokatorów odwiedzamy i państwa również”.

I otwierano mu za każdym razem drzwi i zaraz zamykano za nim. Na twarzy jego nie było gniewu czy żalu; usta tylko mu często zasychały i przed wejściem prosił o szklankę wody. Ale gdyby ktoś spytał tego człowieka, czy naprawdę wierzy, że znajduje amatora na portret, skłóciłby takiego jak nie.

I uśmiechnął się do niego los, który nie spodziewanie przypchnął pod drzwi, gdzie wisiała mosiężna tabliczka „Inż. Alojzy Gacuta”. Było już dobrze po południu, a on czuł się tak samo jak rano. Przed drzwiami na moment zastanowił się, na ogół nie lubił tytułowanych ludzi, ale wszystko jedno mu było. Zadzwoń! Odezwał się kobiecy głos — „kto?”. Odpowiedział spokojnie wyuczony — „My tu wszystkich lokatorów odwiedzamy i państwa również”. I drzwi jak wszędzie, jak po baśniowym „seżamie otwórz się”,



Rys. E. Ingłot

Portret na ścianę

Leszek Płazewski

otworzyły się. Wszedł, przed nim stała rełoda kobieta z wysoko upiętymi czubem jasnych włosów. Podczernione brwi. Wpatrywała się w niego okrągłymi oczami, nie wiadomo czego ma się spodziewać. A on zdejmując czapkę, zaczął swój monolog. — Jestem przedstawicielem firmy, która zrzesza najlepszych artystów plastyków, walczymy ze szmirą, tandetą i złym gustem... Portrety nasze są prawdziwymi dziełami sztuki. Takimi jakoby obrazami Rembrandta, Van Gogha, czy Van Dycka, czy Rubensa, którzy przeszli do historii. My jednak nie przeszliśmy jeszcze do historii, my dopiero wykonujemy je tak samo dobrze. Żyjemy w czasach obrzędowego rozwoju techniki i budownictwa, ale nie trzeba też zapominać o kulturze wnętrza i estetyce mieszkania.

I jeszcze nastąpił długi szereg słów, okazywanie legitymacji, i znów to samo. Kobieta pierwsze słowa akwizytora przyjęła jakby z uśmiechem, ale niedługo twarz jej się wykrzywiła. Potem klasnęła w rękę.

— Proszę pana — zawołała — niech pan przestanie, bo mnie to wcale nie bawi. Ja nawet z początku nie rozumiałam, o co chodzi — dodała — ale teraz wiem. Nic z tego.

Akwizytor tylko zamrugnął oczami i ciągnął dalej, jakby przed sobą miał posąg.

— A teraz przekroczymy do bardziej zasadniczych i konkretnych rzeczy. Odtąd wykonujemy portrety w technice trójbarwowej, czyli wielobarwnej, tak samo jak czarno-białej. Oczywiście to już od życzenia szanownego klienta. Portrety nasze wykonujemy w formie prostokątnej, osoby pojedyncze, portrety małżeńskie, rodzinne czyli grupowe.

— Panie — zawołała kobieta donośniej — Panie, niech pan już skończy. Nic z tego, powiedziałam. Co to jarmark.

Akwizytor uśmiechając się jak klepski amant, ukazał szereg poślózków zębów.

— A więc — zaczął po chwili — czyżby szanowna pani nie miała do naszego przedsiębiorstwa zaufania? Nie, to jest naprawdę zdumiewające. Nasze portrety, co potwierdza się z prawdą, cieszą się naprawdę, dają słowo, wielkim uznaniem. Odtąd w tamtym bloku obok, zebrałem jedenaście zamówień, odtąd dzisiaj trzy wykonane portrety i wszyscy są bardzo zadowoleni.

Kobieta sztucznie się roześmiała. — Widzę, że chce pan być na siłę zabawnym. Jarmark przyszedł do domu, czy coś w tym sensie. Ale ja, powtarzam to jeszcze raz, i jeszcze raz powtarzam, nie mam życzenia tego słuchać.

Teraz dopiero zauważył, że kobieta jest mocno podenerwowana. Tusz na oczach rozmazany. Tak wyglądała jakby kłótnia w domu. Nigdy nie miał czasu zastanawiać się nad takimi sprawami, to go nie obchodziło. Podczas wykonywania swej pracy zamieniał się w automat, automat do mówienia. Wiedział, że tylko zaspokajanie słowami klienta, wszystko jedno jakimi, może dać jakiś rezultat.

— Pani jest tego zdania — podjął na nowo — a zupełnie innego zdania są inni, również kulturalni ludzie, jak na przykład świetny odtwórca kapitan Kłossa.

Kobieta po tych słowach tupnęła. — Panie, dosyć tego zawracania głowy i bajerowania. Niech pan idzie do Kłossa i razem z nim do wszystkich diabłów. Przecież od tego słuchania aż w głowie hucały.

Akwizytor jeszcze raz popatrzył na kobietę w nadziei, że może jej twarz choć odrobinę

złagodnieje. Nic z tego. Patrzyła wciąż wrogo. Więc sięgnął już po czapkę, kiedy zza drzwi laziłki usłyszał głos mężczyzny.

— Co tu się dzieje. Kto przyszedł.

Akwizytor ruszył szybciej do drzwi.

— Człowiek — odpowiedziała kobieta jakby z pewną złośliwą satysfakcją — Jeden człowiek, sety ci zrobić portret na ścianę, już teraz wiesz.

Akwizytor odruchowo zatrzymał rękę na klamce; był pewien, że przed jego wejściem młodzi małżonkowie dość ostro się kłócili.

— Kto? — zapytał mężczyzna wychodząc z łazienki. Był w białej koszuli, krawat miał luźno zawiązany. Średniego wzrostu tysawy blondyn — Kto pan?

— Dzień dobry — powiedział akwizytor i na nowo zaczął. — Jestem przedstawicielem firmy, która zrzesza najlepszych artystów plastyków, walczymy ze szmirą, tandetą i złym gustem przejawiającym się często w innych przedsiębiorstwach, które nie tylko naszemu przedsiębiorstwu podrywają autorytet, ale i państwa narażają na straty. A więc co należy robić, żeby tego uniknąć. Bardzo proste — wyjął legitymację. Teraz wiemy, kto ja jestem, idźmy dalej, odtąd portrety nasze są prawdziwymi dziełami sztuki, nie podlegającym dyskusji, takimi jak obrazy Rembrandta, Van Gogha, czy Van Dycka, którzy przeszli do historii i te obrazy wiszą w eksponowanych miejscach. My jednak nie przeszliśmy jeszcze do historii, ale wykonujemy tak samo dobrze i kiedyś za lat kilka na pewno...

Mężczyzna spojrzął na akwizytora, swą żonę, u której niespodziewanie pojawił się na twarzy uśmiech, i znów na akwizytora. Czoło mu się zmarszczyło, a w oczach widać było tragiczną pustkę.

— Co to ma znaczyć?! — wrzasnął. — O czym pan gada.

— Słyszysz chyba — powiedziała kobieta. — Pan namawia ciebie, żebyś zamówił sobie portret na ścianę.

— Nasze wykonanie — powiedział szybko akwizytor — jest na takim poziomie artystycznym, że nie zawstydzisz się tego sam minister, czego dowodem jest, że zebrałem w tamtym bloku obok dwanaście zamówień.

— Pomylił się pan o jedno — sprostowała kobieta. — Ale to nie ma znaczenia. No dla czego nie zamawiasz sobie portretu — zwróciła się do męża, ironicznie się uśmiechając.

— No, na co czekasz.

— Przestań — zawołał mężczyzna — przestań, bo oszaleję. Przestań.

— Zdaje się — ironizowała dalej kobieta — że w waszym domu rodzinnym, jak ty go ładnie nazywasz, wisiały takie portrety, kolorowe portrety.

Mężczyzna popatrzył na nią mściwie.

— A żebyś wiedziała, że wisiały — powiedział — i ja się wcale tego nie wstydzę, rozumiesz. Nie wstydzę się i nigdy nie wstydzę się rodziny swojej, zapamiętaj to sobie raz na zawsze.

— To dlaczego — odparła kąśliwie — nie zrobisz sobie portretu, tak jak w domu?

— A właśnie, że zrobię — powiedział mężczyzna.

Akwizytorowi przeszedł po twarzy mimowolny uśmiech, a z ręki wypadł długopis. Podnosząc go, znów jak automat zaczął mówić.

— Nasze portrety wykonujemy jak najstarszannie, dbając nie tylko o estetykę wykonania, nie przede wszystkim o poziom artystyczny, i, że tak się wyrażę, koneserski: w porównaniu z innymi przedsiębiorstwami, które podszywają się pod nas, nie tylko podrywają nam autorytet. Dalej. Nasze portrety są prawdziwymi dziełami sztuki, takimi jak obrazy Rembrandta, Van Gogha czy no choćby tego Van Dycka, którzy przeszli do historii.

Mężczyzna zmarszczył brwi i warknął: — Panie, skończ pan tę gadkę.

— Wypisać kwit? — zapytał wtedy śmiało akwizytor.

— Pisz pan — powiedział mężczyzna. — Aha, i zdjęcie trzeba dać — sięgnął do kieszeni, wyciągnął portfel. — Takie wystarczy.

— W zupełności — odparł akwizytor. — Słiczny z tego będzie portret, prostokątny...

— Alek — zawołała kobieta — czyż ty zwariowałeś! Ty naprawdę, naprawdę chcesz, żebyśmy sobie na ścianie coś takiego powiesili.

— Tak, chcę — odparł mężczyzna i sięgnął węzeł krawata. — Powiedziałem ci to już dawno, że ja swojej rodzinie się nie wstydzę. Nie wstydzę się tego, że pochodzę ze wsi, zresztą nie mam czego się wstydząć. Gozrzej jak kto jest taką panią, która pochodzi z małego zabitego dechami miasteczka i jej się wydaje, że urodziła się co najmniej w Paryżu, bo jednej koleżanki mamusia miała pianino i ona chodziła na nim czasem pograć.

— Alek — wybuchnęła kobieta — jak możesz! Tego po tobie wcale się nie spodziewałam. I tak przy obcym.

— Akurat dobrze się składa — powiedział mężczyzna. Był teraz najwyraźniej gorą. — Niech to się wreszcie skończy. Wiem, że nie możesz mnie znieść, że jestem taki jaki jestem; do wszystkiego się czepiasz, a to, że mi nogi się poca, a to, że paznokcie krzywo rosną, a to, że mam trzy włosy w nosie za dużo, a to, że cię mój zarost za mocno kłuje.

— Alek! — zawołała kobieta i zapłakała. — Alek, przyrzekam ci, że to już koniec. Zobaczysz, koniec. Napiszę do mamusi o wszystkim.

— A pisz, proszę cię bardzo — powiedział mężczyzna i znów sięgnął węzeł krawata, tak że mu szyja porządnie poczerwieniła. — Nawet możesz napisać, żeby cię zabrała do siebie na zawsze.

Kobieta wybuchnęła płaczem. Mężczyzna zapytał akwizytora.

— Pewnie chcesz pan zaliczkę.

— Tak wszędzie się praktykuje. — odparł akwizytor.

Kobieta nadal płakała.

— He?

— Jedna trzecia całości wykonanego portretu. A więc sto złotych. Portret będzie w ramach, za szkłem. I jeszcze jedno, czy chce pan z dostawą do domu, czy też zgłosi się pan sam po odbiór.

Kobieta ciągle płacząc weszła do pokoju, tego przyległego pokoju. Trzasnęła drzwiami. Mężczyzna patrząc za nią powiedział.

— Oczywiście, z dostawą do domu.

Literatura i kultura na „małym ekranie”

Redakcja Publicystyki Kulturalnej TV przygotowuje się już do emisji programu w nadchodzącym roku. Co obejrzemy na „małym ekranie” i zakresu problematyki literackiej i kulturalnej?

Ogólna cecha przygotowywanego programu jest, jak stwierdził kierownik tej redakcji — Roman Samel, szerze uwzględnianie współczesnych zagadnień z dziedziny sztuki i literatury, tak aby korespondowały one z kulturalnymi, aktualnymi potrzebami widzów. Cechą dającą się wyraźnie wyróżnić jest nacisk na upowszechnianie oryginalnych wartości artystycznych i oryginalnych koncepcji intelektualnych. Zadanie upowszechniania połączone jest z próbą sondażu socjologicznego.

Wprowadzony zostanie cykl „Humanizm polski”, w którym wybitni uczeni dzielili się swymi refleksjami w związku z przeprowadzonymi badaniami; w ten sposób będziemy otrzymywali rodzaj syntezy historyczno-literackiej. Już 13 listopada prof. Jan Zygmunt Jakubowski mówił o współczesnym pamiętnikarstwie polskim: 25 grudnia wygłosił prelekcję o „Kronikach” B. Prusa, a w styczniu o pięknej sztuce pisania listów (listy Sobieskiego, Iłkowskiego, Stanisława Witkiewicza). Ten cykl jego felietonów telewizyjnych nosił będzie tytuł: „Tradycja, współczesność, ciągłość”. Podobne felietony przygotowała prof. Konrad Górski, Kazimierz Wyka i Wacław Kubacki.

Zachęcona powodzeniem audycji „Wokół Kolumbów”, TV postanowiła kontynuować cykl spotkań ze studentami. W listopadzie przewidziana jest dyskusja z Andrzejem Wajdą na temat jego najnowszego filmu realizowanego wg opowiadania J. Iwaszkiewicza — „Brzezina”. Kontaktem z bieżącym życiem kulturalnym w kraju i jego problemem służyć będzie cykl prowadzony przez Jerzego Porębskiego „Profile kultury”. W grudniu nadany zostanie program pt. „Wieczory w Suwałkach”, a w styczniu program poświęcony problemom amatorskiego ruchu filmowego na przykładzie Klubu Filmowego w Nysie.

Ryszard Wójcik zaprezentował jeszcze w listopadzie film poświęcony olsztyńskiemu Teatrowi im. Jaracza z okazji jego 25-lecia. Ten sam autor pokazuje w grudniu filmową monografię Mariana Koniecznego — twórcy warszawskiej „Nike”.

Sprawy literatury znajdują wyraz w „Panoramie literackiej”, która zapowiada dyskusje na temat polskiej dramaturgii współczesnej (grudzień br.), na temat powieści historycznej (styczeń), konfliktów: prowincja literacka a stolica literacka (lutym), futurologii w literaturze (marzec). „Panorama” zamierza znacznie więcej niż dotąd uwagi poświęcić literaturze obecnej. Najbliższe audycje dotyczy będą literatury francuskiej, niemieckiej, radzieckiej, skandynawskiej. W audycjach tych będzie sporo informacji połączonej z interpretacją zjawisk literackich.

W cyklu „Lektury współczesne” głos zabierają będą na temat aktualności rynku wydawniczego m. in. Andrzej Wasilewski, Michał Sprusiński, Anna Bukowska, Włodzisław Maciąg, Bohdan Drozdowski, Janusz Wilhelm, Marta Wyka, Krzysztof Nowicki, Wojciech Zukrowski, Stanisław Zieliński. W ramach „Spotkań z pisarzem” zaprezentowano już 45 twórców. Najbliższe audycje poświęcone zostaną Janowi Gerhartowi, Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, Arkadiuszowi Fiedlerowi, Zofii Posnusz, Januszowi Przymanowskiemu i Edwardowi Redzińskiemu.

Popularny „Pegaz” nasili informacje kulturalną poprzez współpracę z korespondentami zagranicznymi, którzy nadsyłać będą rozmowy z wybitnymi pisarzami i ludźmi sztuki, a także komentarze aktualne zjawiska kulturalne za granicą.

Programem socjologiczno-publicystycznym będzie nowy cykl zatytułowany „Folklor żywy”. Podejmi on zagadnienie roli świadomości ludowej w rozwoju i świadomości narodowej. Jednym z najbliższych będzie „Jesiń tatrzańska”, poświęcony Międzynarodowemu Festiwalowi Folklorystycznemu w Zakopanem.

Grzegorz Dubowski w cyklu „Portrety” przedstawi w nowym roku Konstantego Paustowskiego, Florodę Dostojewskiego i Kawerę Dunikowskiego.

Obejrzemy też audycje poświęcone fotoreporterom, którzy utrwalili obraz Warszawy zniszczonej i wyzwolonej (lutym).

Kilka słów o II programie TV. W nim to Redakcja Publicystyki Kulturalnej zaprezentuje cykl „W pracowni artysty”, redagowany przez Barbare Pietkiewicz (raz w miesiącu). W grudniu emitowany będzie program „Słowa, myśli, estety”, podczas którego Ignacy Gołolewski ponownie tak stworzył swe role w jednoaktówkach Pinera. W nowym roku audycje z tego cyklu poświęcone będą m. in. Aleksandrowi Koberdelowi, Józefowi Szaniewi, projektantowi dworca wchodzącego prof. Zbigniewowi Iwanowiczowi i Wrocławskiemu Teatrowi Pantomimy, Janowi Modrzejewskiemu, Andrzejowi Kurlewiczowi, Zofii Wierchowicz i Danielowi Ojhrvchskiemu.

Nowością programu II jest „Klub Dobrych Książek”, w którym krytycy zaprezentowali nowości wydawnicze w trakcie rozmów z autorami tych książek.

Ciekawości socjologiczna sorowila, że TV wprowadza w programie II audycje nt. „Spotkania z odbiorcami”, redagowane przez Tadeusza Krackę, które mają na celu konfrontację gustów i smaku artystycznego twórców z odbiorcami. Takie „starcie” nastąpi w grudniu br. podczas audycji „Ciepło, zimno, gorąco”, w której będzie mowa o Warszawskim Festiwalu Sztuki. Podobna audycja planowana jest w październiku w ramach sondażu socjologicznego będzie miał program na temat „Jak Polacy przyjeżdżają wsiem i dlatego ten gatunek filmu cieszy się tak dużym powodzeniem”.

W nowym roku programy literackie i kulturalne TV — jak zapewnił Roman Samel — będą polonizowane. Konstruktynne, krytyczne i jak najbliższe współczesnym wydarzeniom kulturalnym w kraju i za granicą.

Biadolenie za uszami

PAN Kazimierz Zdzisław napisał niedawno w „Kulturze i Życiu”, że biadolenie „jest naszą towarzyską specjalnością”, a ten, kto nie opanował owego sposobu codziennego bycia, staje się w oczach ogółu „nie-taktownym chamem”. Pan Kazimierz zakreślił w dalszych swych wywodach („he, he, he!”) coś w rodzaju przepedytyki biadolenia, naszpikowanej przykładami z tzw. życia, które przy okazji ujawniają tzw. wachlarz zainteresowań autora popularnych reportażów z krainy inlainej emocji. „Biadolenie jest epidemią gorzej niż epidemia cholery” — stwierdza autorytatywnie, po czym przytacza pierwszy rodzaj biadolenia: biadolenie intelektualne vel Marian Makarski, który w felietonie pt. „Spadkobiercy” — „patrz „Standar Ludu”, który ukazał się w „Zaduszki!” („he, he, he!”) — napisał, że przynależy do pokolenia artystów wątpiących „w sens sztuki i jej siłę”. To dramatyczne i bardzo osobiste wyznanie malarza p. Kazimierza kwituje głósnym myśleniem: „Czytam te słowa i myślę, co by było, gdyby nieoczekiwanie w sens swojej roboty zacięli górniczy, lekarze, robotnicy czy też ci, którzy sięgają żyto i sadzą ziemniaki?”

Choć autor nie daje odpowiedzi na nurtujące go pytanie, łatwo się domyślić, że w kraju naszym byłoby źle, głodno, chłodno i chorobliwie, albo jeszcze gorzej, czyli poruta. Nieoczekiwanie

cięcie dla czytelnika, dla siebie samego zapewne także, autor zaczyna biadolić, że artyści nie myślą w kategoriach użytecznych, że nie myślą w sposób taki, w jaki myśli ciężko pracujące społeczeństwo, pomażające bogactwa kraju i narodu. Zakamuflowanym zdaniem p. Kazimierza, artyści są producentami obrazów, rzeźb czy grafik, a więc jakiegoś towaru, którego społeczną potrzebę i sens wytworzenia wyznacza wskaźnik planów, paragrafy zarządzeń i inne racjonalnie wypracowane konieczności. W artyście państwo zainwestowało, a więc wymaga spłaty długu, czyli roboty malarzkiej od metra czy kilograma. Takie rozumienie roli artysty wyklucza z jego postępowania zwątpienie, wahania, niepokoję tak silne, że obojędniające twórcze działanie. Otrzymałeś, bracie, dyplom, to rób, co do ciebie należy, nie marzaj się, bo przez swoją neurostację planu nie wykonamy, a społeczeństwo nie otrzyma odpowiedniej porcji estetycznych kalorii. Pan Kazimierz Zdzisław kocharży artystę z rzemieślnikiem i co na to powie jego przyjaciel malarz, Mieczysław Herman, który, o ile wiem, uważa, że powinnością artysty jest kreatywnie komentowanie świata w sposób bezostydnie szczery, wolny od dotychczasowej dyscypliny planów społeczno — gospodarczych. Planować bowiem można budowę nowych i wystawowych, stypendia dla artystów, liczby wystaw, obroty Pracowni Sztuk Plastycznych. Ale samej twórczości nie da się zaplanować, zaprogramować tak czy inaczej; wszystkie takie próby kończą się żałobnie, a kto nie wierzy, niech obejrzy zbiory Centralnej Składnicy Muzealnej w Kozłowie pod Lubartowem.

Spieszę przy tym z wyjaśnieniem, z deklaracją nawet, że daleki jestem od stawiania artysty ponad społeczeństwem, co ucale nie wynika, że ślepego akcesu do szerokiego grona wyznawców egalitaryzmu za wszelką cenę, lecz z pewnego rozważania w warunkach określających istnienie sztuki, tej specyficznej formy świadomości zbiorowej. Właśnie zbiorowej, bo artysta — rzeczywisty artysta, co wbrew pozorom można ustalić — kumuluje w sobie nastroje i myślenie czasu, w którym żyje, i czas ten zamyka w swojej twórczości, i czas ten wyraża — choćby znakiem

plastycznym. Jego zwątpienia są więc zwątpieniami innych, nawet jeśli dotyczą sensu sztuki i jej siły, czyli podważają sam status artystyczny, ucieleśniony w machinie na nie ręką. P. Kazimierz zdaje się żywić przekonanie, że artyści czerpią chęci i siły do działania z wiecznych idei, bytujących w zabołotach. W takim razie autor felietonu „Dlaczego Polak biadoli” nie zgodzi się ani z Hausserem, ani z Levi — Strauszem.

Można pobzdolić, że biadole niepotrzebnie nad drobnym fragmentem tekstu zamkniętego w tak nie zobowiązującą do obiektywizmu formę, jaką jest felieton. Usprawiedliwił się krótko: ze swej natury felieton to forma bardzo sugestywna, nakład gazety wysoki, a sygnalizowane retorycznym pytaniem autora poglądy są, niestety, dość jeszcze powszechne. I mylnie. Na tym kończę biadolenie i zaczynam chwalić.

Dawniej lubelskie BWA pracowało dżiwoacnie, bo wysyłało do redakcji czasopisma społeczno — kulturalnego „Kamena” katalogi wystaw, co przysparzało nam sporo kłopotu, związanego z gromadzeniem tylu kilogramów papieru. Dziś katalogów nie otrzymujemy, bo nie ma nas w tzw. rozdzielniku tej instytucji. Cieszy nas przy tym, że dzięki tej nieskomplikowanej polityce BWA może więcej katalogów przesyłać do tych przedsiębiorstw i organizacji, które nie kochają plastyki czy mają ją po prostu w nosie. Cenimy każde działania propagandowe! I tylko w sporadycznych przypadkach czujemy się zubożeni poznawczo takim obrotem sprawy.

Oto bowiem dopiero kilka dni temu i przypadkowo wpadł mi w ręce katalog „Galerii Malarstwa Lubelskiego PDK w Bełżycach”, w którym obok reprodukcji obrazów i zdjęć ich twórców zobaczyliśmy i to na wstępie, niejako na honorowym miejscu — pokaźną i zręcznie podretuszowaną fotografię kierownika lubelskiego BWA, podpisaną „Dyrektor BWA w Lublinie”, co nie wiadomo dlaczego przypominało mi okrzyk Correggio na widok obrazu Rafaela: „Anch' io sono pittore”. Nie wiadomo dlaczego, ponieważ w wypadku Correggio wszystko było na swoim miejscu.

I J K

Bibeloty i rakiety

Dokończenie ze str. 8

rzy, ma ona w sobie coś z natury „produkcyjnicków”: technologia przesłania tu ludzi.

Rozhin zrobił co mógł, niemniej w stanie żywego planu: Koordynator (Kazimierz Talar), Chemik (Fred Kozłowski), Cybernetyk (Janusz Fiołowski), Doktor (Andrzej Jankowski) stanowią ZALOGĘ i tyle. Pozostających jej członków poznamy — po kostiumach. Zresztą może stało się tak i dlatego, że ostatnio, zdaje się, awangardowe inscenizacje fascynują Rozhiną więcej od reżyserii.

Zatem, wracając do Barańskich, można powiedzieć, że grają oni w tym spektaklu na pierwszych skrzypcach. Rakietą bowiem jak rakietą, ale trzeba było jeszcze pokazać planetę Eden. Stąd niewiarogodne ilości projekcji surrealistycznych krajobrazów, projekcji miast o niebywałej architekturze, przerażającej fabryki udoskonalanych istot, projekcje dziwnie odkształconych roślin, ni to zwierząt. No i trzeba było przyodziać w klebwisło lachmanów Dubelta (Regina Zaluska), istotę rozumną planetę.

Wyprawy „w teren” Eden odbywała laseczki — sobowótory postaci pierwszoplanowych, sprawnie poruszane przez kobiecą część zespołu teatralnego (M. Elmund, Z. Janicka-Talar, H. Lobaczewska, A. Stawska, A. Sternik). Te wędrowki w świetnym kręgu reflektorów przywiodły mi na pamięć „Orfeusza” szczyńskiego Teatru Pantomimy „Studio Miniatur”, ale nie czynię z tego specjalnego zarzutu, było to uroczyste i pasjonujące zgromadzenie na widowni dramatycznej, której też Stanisław Pawluk zaszerwał w ilustracji muzycznej potężną porcją decybeli.

Na końcu — oklaski dla dyr. S. Ochmańskiego za sensacyjne urozmaicenie repertuaru.

Maria Biechczy-Rudnicka

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

M. Pigoński coraz gorsze utwory pisze. W każdym razie coraz smutniejsze. Jakby go jakieś ciężkie kłopoty mordowały albo inne plagi. Najsmutniejsze utwory przysłał nam z datą i listopada, czemu my się w pewnym stopniu nie dziwimy. Taki na przykład kawałek:

Co dzień mijamy się
znani i nieznanzi sobie
dziwnie obojętni
każdy swą myślą przybity jak
gwóździem.

No i coraz mniej empigonistyczna ta twórczość. Ale my o M. Pigońskim nie zapominamy, aczkolwiek raz zdarzyło nam się, że przekreśliśmy w druku jego nazwisko. Ohydna ta pomyłka nie daje nam spać po nocach. Z bogatego dorobku Pigońskiego wybieramy „Złoty interes”:

Czasem w pamięci utkwii drobniarz
i jak drzazga rani
lub zachwyca
Zdechłą kurę kupiła pani
(może to była urzędniczka
może robotnica)
Skąd się biorą zdechłe kury
na łódzkich ulicach —
nie pytaj pana Dundera
bo pan Dunder zna łódzkie ulice
jak własne kieszenie w spodniach
— W Łodzi — potociada — złoty
interes

na kurach
cuda się czyni
trzeba mieć tę żyłkę handlową
i jeszcze... to i owo...
(uśmiecha się cynicznie)
i kury w skrzyni trzeba mieć
Przepraszam
pan Dunder spłynął w tłumie
jak kropka w strumieniu
wchłonęła go łódzka ulica
Przechodził tedy milicjant

Nie się więc Pigoński poprawi,
mając naszą życzliwość za sobą.
Niech weselsze utwory pisze no i
bardziej empigonistyczne. Bo zde-
graduujemy z funkcji sępa Klubu!

Samotne kobiety wychowują

Emilia Malina

GDY wyjeżdża się na wczasy nad Bałtyk, bądź co bądź ponad pół tysiąca kilometrów od stron rodzinnych, po tygodniu powszedniej uroki morza i chwytą nas nostalgia. Mikolaj ratuje się szukaniem „czwartego” do brydza. Aśka i Wilka starają się być w stylu i czarują co dzień innych chłopców. A ja mogę prawdziwie odpocząć dopiero wtedy, gdy mam „oczy do czegoś przyłożyć”. W księgarni przy Świętojańskiej wpadły mi do rąk dwie książki, które sprawily, że w cieniu nadbałtyckich sosen zapachniało mi żywica sosen bardzo lubelskiej młodzień, gdzieś między Wisłą a Bugiem szumiących.

Byłyśmy trzy: Krystyna Tatar, czyli Hanka, wiodła swoją „Opowieść belferskiej”, Leokadia Barańska a właściwie Krystyna wtrącała swoje „Barbara i ja”, a ja — stuchałam jednej i drugiej i próbowałam znaleźć swoje miejsce.

Jestem najstarsza, nie zdradzając lat powiem, że gdy zaczęła się wojna miałam za sobą dwie klasy gimnazjum i chłopca, który potem zginął w powstaniu warszawskim. Krystyna — Hanka podala wprawdzie dokładnie datę swoich urodzin: 8 lipca 1931 roku w piątek, ale właśnie to sprawiło, że nie bardzo jej dowierzam, bo 8 lipca 31 roku była środa. Krystyna w swojej „Opowieści belferskiej” dała więcej takich lekkich „odchyleń” od prawdy, bardziej wierzy temu, co sama chciała w swoim życiu zobaczyć, niż temu, co działo się rzeczywiście. Leokadia — Krystyna jest bardziej kobieca, nie przyznaje się do lat, chiałaby ukryć „pierzysze srebrne” i „zrobiła się” blondynką, bardzo złotowłosa i prawie naturalną — cóż, jako kobieta nie mogę tego nie dostrzec.

Co nas łączy? Łączy nas miejsce akcji obu opowiadań — Lubelszczyzna. Znów spacerując pochyłymi uliczkami Chelma, odwidzając słoneczny w mej pamięci Cyców, wspinałam się na lubelski Czwartek, patrzyłam na Wisłę z kasmierzowskiej baszty, odnajdując najbardziej krykliwie dźwięki i przez całą nieomal dobie „działające” trzepak! Świdnika, czynnie przegląd ostatniego ćwierćwiecza Lubelszczyzny.

Trzy kobiety w jednym towarzysztwie to siła faktu układ, który sprawia, że każda staje się podwójnie kontrowersyjna — każda do każdej. Nie wiem, co będą myśla-

ły o mnie moje towarzyski, zapewne nie będą mieć lepszego zdania niż każda z nich o sobie wzajemnie. Wiem natomiast, że depcząc te same ścieżki, przebywając w towarzystwie tych samych osób — prototypów dla bohaterów obu powieści, trudno nie być kontrowersyjną.

Krystyna — Hanka: Lubelszczyzna nie miała szczęścia do wielkich poetów, którzy opisywaliby jej uroki, dlatego nie mogę postąpić się żadnym wierszem, aby przybliżyć pani mą ojczyznę. Na Lubelszczyźnie rozdzielili się rewolucjoniscy.

Ja: Zależny, że wielkość jest rzeczą względną i umowną, a nawet niewygodną, bo że współczesne płaszczyzny spojrzenia lekko śmieszna, więc proponuję wyraz „wielkich” skreślić i zaraz okazać się, że na Lubelszczyźnie rozdzielili się nie mniej poetów, którzy opisywali jej uroki, niż rewolucjonistów. Poza tym poezja nie wymaga koniecznie wierszy. Cała następna strona poetyckiego opisu Lubelszczyzny to właśnie najpiękniejsza karta pani powieści. Natomiast nie zgodzę się z założoną tezą, że bohaterowie pani „Opowieści” byli rewolucjonistami. Byli zwykłymi ludźmi, których wielkość, kierując się prostym sprawdzianem racjonalności swojego postępowania to uznawała za słuszną w działaniu, co pozwalało każdemu żyć w zgodzie z samym sobą, z poczuciem godności osobistej, społecznej sprawiedliwości i moralnością Polaka nie umiającego i nie mogącego żyć obojętnie, urodzonego w kołysce przekory wobec wszystkiego i wszystkich, więc i wobec siebie. Chyba, że chce pani udowodnić tezę, że w obliczu historycznych przemian Polacy stają się rewolucjonistami lub przechodzą na pozycje rewolucjonistów. Tę tezę udowodniły wydarzenia historyczne i pani ją notuje w faktach.

Krystyna — Hanka wychodzi z kręgu uroku dobrego czwartego z zielonych oczach i stycznych włosów, by znaleźć się w kręgu uroku masywnej bohaterki i szarego bohatera, co nie każdy czytelnik potrafi łatwo odróżnić. W tej niesamowitej chwili napięcia weszła matka, jak zawsze surowa, poważna, dostojna i spojrzala na nas z żalem — „Mato was Niemcy wystrzelali, chłopcy? — powiedziała spokojnie.

Nie droga rewolucji, wręcz przeciwnie, drogą ewolucyjną powszednich doznań Krystyna — Hanka osiąga przekonanie, że bohaterstwo i rewolucyjność to malżeństwo. W jej oczach wszelkie działanie o cechach zmiany to rewolucyjność w

laurowym wieńcu bohaterstwa. Stąd szczególna fascynacja osobą Naczelnika, który w jej „Opowieści” bardzo skromnie, a zarazem bardzo konsekwentnie, wytwarza atmosferę fascynacji wokół swojej osoby. Momentem szczytowym tej fascynacji jest „za” Hanka w głosowaniu o wprowadzenie laicyzacji szkoły.

Krystyna — Hanka: A więc trochę im na złość, a trochę z oburzenia na nie, że aż tak bały się nowego. Bo świecka szkoła na Lubelszczyźnie to było nowe, natrafiało na opory, a więc podniecało, wymagało odwagi. Lubiamy wtedy niełatwe drogi, pasjonowało mnie pokonywanie trudności. I chyba również dlatego powędziałam swoje „za”. Okazało się, że sztuką jest obronić swoje stanowisko.

Ja: Więc właśnie. Tego stanowiska autorka — bohaterka „Opowieści belferskiej” nie broniła, jeżeli dodaje swoje atę: „...ate cały czas obracałam się latającymi w kręgu zakreślonym przez Naczelnika i w pewnym stopniu byłam odcięta od szerzej społeczności. To mogła powiedzieć Hanka, ale tego nie wolno było powiedzieć Krystynie, bo okazało się, że nie bohaterka, lecz autorka opowieści trwale pozostaje w kręgu uroku Naczelnika. A przecież wystarczyło dodać — dziś to wiem, że laicyzacja szkoły polskiej została przeprowadzona dlatego, że chciał tego od lat ogół nauczycieli. Fascynacja rewolucjonerstwem nie jest równoznaczna z uleganiem autorytetowi rewolucji.

Krystyna — Hanka: Jakoś w owym czasie zapanowała wśród nas istna epidemia małżeństwa. I ja na tę epidemię okazałam się nieodporna. W ciągu tygodnia zostałam mężatką.

Od tego momentu coraz wyraźniej odczuwałam, że Krystyna — Hanka była nieodporna na wiele innych jeszcze epidemii. Dowodem jest zakończenie „Opowieści”: „No tak. Rewolucja się skończyła, trzeba chować dzieci... Ustąpiłam. Ale może w życiu każdego człowieka jest czas uporu i czas ustępstwa.

Są inne prawdy, które chciałabym powiedzieć Krystynie — Hance. Rewolucja nie skończyła się, rewolucja trwa, choć najwyższy czas skończyć z rewolucjonerstwem, wiele szkody wyrządzającym sprawie mądrej i ludzkiej, sprawie rewolucji. I wielką jest sztuką umieć odejść w porę. Takie odejście nie staje się ustępstwem, ono jest zwycięstwem. Czasami nad przeciwnikiem, a czasami ważniejszym — nad sobą.

W sumie „Opowieść belferska” jest napisana z przekorą, kontrowersyjnie, ciekawie. Można jej wiele zarzucić, można nie zgadzać się z pozycją jej bohaterki, można spierać się z autorką o różne kwestie, ale nie można przejść obok, przejść obojętnie. Książka jest wartościowa.

Nieobojętna jest także kontrowersyjna „Barbara i ja”. Leokadia, która jest właściwie Krystyna, żyje w tym samym czasie i w tych samych miejscowościach. Nawet ich losy są konsekwentnie podobne. Losy kobiet wychowujących samotnie swoje dzieci. To co u Krystyny — Hanka było sprawą drugoplanową, jedną z wielu epidemii, u Leokadii — Krystyny wysunęło się na pierwszy plan: wychować dziecko i zdobyć dyplom magisterski, równocześnie pracując i obywatel się bez pomocy męża.

Blizej logiki

GRUPA uczonych polskich podjęła się przed laty zadania udogotwienia czytelnikowi związanej syntezy wiadomości z dziedzin logiki. Wynikiem prac zespołu jest „Mała Encyklopedia Logiki”, która opuściła właśnie oficynę Zakładu Narodowego im. Ossolińskich... Warto podkreślić, że jest to pierwsza na naszym gruncie, a zapewne i w całym znanym piśmiennictwie, próba systematycznego przedstawienia, w formie skondensowanej, całokształtu wiedzy logicznej.

Jak zwykle, przedsięwzięciu nowatorskiemu towarzyszy pewne ryzyko. Podzielili je również twórcy Małej Encyklopedii Logiki. Trudność przy tego rodzaju edycji dotyczy przede wszystkim adresata, którego uwadze książkę się powierza. Problemu tego nie zdołali jednak, z wielu powodów, rozstrzygnąć autorzy do końca. Tak więc odnosi się ona, choć nie zaspokaja, w całości, zarówno do najszerszego rzeszy czytelników, jak i osób szczególnie kompetentnych, czyli samych logików.

Kolejna trudność wynika z ustępstw na rzecz poprzedniej, a sprowadza się do wyboru właściwej koncepcji przekazania materiału. I znowu polączono wymagania obu odbiorców; wszystkich zainteresowanych i uczono. Dlatego dzieło przysięgło zarazem charakter słoownika, krótko informującego o podstawowych terminach i pojęciach logiki, oraz encyklopedii, mającej na celu przedstawienie tychże pojęć w kontekstach całych teorii logicznych. Oceny tego pomysłu dokonają sami czytelnicy. Zaś twórcy, jak by uwierzyli już w konflikt interesów i przewidzieli z góry możliwość wydania w przyszłości nowej wersji encyklopedii — osobno dla fachowych logików i mniej wymagającego, szerszego ogółu.

Jakie treści możemy odnaleźć w MEL? Zgodnie z założeniami została ona pomyślana jako kompendium wiedzy z dziedziny całokształtu logiki, a zatem spotkamy tam hasła odnoszące się zarówno do tzw. logiki tradycyjnej, która obejmuje: teorię wnioskowania bezpośredniego (kwadrat logiczny, konwersję, obwersję, kontrapozycję, inwersję), teorię wnioskowania pośredniego, zwaną popularnie sylogistyką Arystotelesową i logikę stoików; a także wiadomości z dziedziny logiki ukształtowanej w ostatnim stuleciu, z której autorzy uwzględnili: logikę matematyczną (logika formalna i metalogika), teorię mnogości (rachunek zbiorów, teoria relacji), logiczną teorię języka (semiotyka) i logiczną teorię nauki, czyli cały dział logiki rozumiany jako metodologia nauk.

Poza informacjami ściśle naukowymi zawiera jeszcze Encyklopedia inny typ hasła. Stanowią je krótkie notatki biograficzne czołowych klasyków piśmiennictwa logicznego na świecie, w tym i w Polsce. W stosunku do tych ostatnich posłużono się dość względny kryterium wyróżnienia, jakim jest promocja profesorska.

Mała Encyklopedia Logiki jest swego rodzaju wydarzeniem naukowym, które z jednej strony cieszy, zaś z drugiej napawa pewnym sceptycyzmem. Cieszy, gdyż dysponujemy wreszcie jakimś obrazem dyscypliny, co do której nie mieliśmy dotąd wyobrażenia całkowitego, przysprawił o zwątpienie tych, którzy oczekują od niej odpowiedzi na każde zadane sobie pytanie z logiki, czemu naturalnie w tej postaci sprostać nie chce i nie może.

Mówiąc, z grubsza czytelnikowi, o tym, co MEL zawiera, czego mimo swej „małości” nie zmieściła, trzeba upomnieć się o indeks rzeczowy eksponowanych hasła. Jest on potrzebny w każdym poważniejszym wydawnictwie typu naukowego, a wprost niezbędny w pracy o charakterze słoownika — encyklopedycznym. Niepokoi, na pierwszy rzut oka, forma językowa, w jakiej autorzy dają do skomunikowania się z odbiorcą. Co prawda odpowiada ona językowi nowoczesnej logiki, a zatem formalizacji wypowiedzi, lecz odbiornik, zwłaszcza wśród niefachowców, w czasie nawet może zupełnie unemożliwić czytelność myśli. Żyły to więc objawy ze strony dzieła, które chce być powszechne, a przestaje nim być w rękach czytelnika nie obznajmionego z językiem, w jakim zostało wyrażone. W ten sposób nie pomaga, ale przeciwnie — zniechęca do korzystania, a co wytrwali stracą wiele cennego czasu, by zająć się nauką zawilej symboliki logicznej. Szwanując więc redakcja pracy, która zakładając maksymalizm, jednocześnie minimalizuje efekt swego oddziaływania nie troszcząc się o bardziej właściwy wyraz myśli, np. wypowiedzi pierwotnie sformalizowane można by dodatkowo uzupełnić w języku niesformalizowanym.

Mała Encyklopedia Logiki w każdym razie jest osiągnięciem pionierskim, któremu można i trzeba przyklasnąć. Skromności twórców należy jeszcze przypisać, że liczą na łaskawe przyjęcie i głosy krytyczne czytelników, co jedynie zapewni żywotność ich dzieła.

Paweł J. Smoczyński

1) „Mała Encyklopedia Logiki”, Wrocław — Warszawa — Kraków, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, 1974, nakład 20 000 egz., str. 212, cena 100 zł.

2) Autor recenzji przyznaje, że podobne rozwiązanie, bez uniknięcia kłopotliwych powtórzeń i uproszczeń, nie wspomniawszy już o przeszkodach techniczno-redakcyjnych, byłoby trudne do realizacji. Sugeruje je jednak przeznaczenia pracy, a przede wszystkim postulatów sensownej komunikatywności w przekazywaniu informacji, o czym logicy wiedzy powinni pamiętać.

KONKURSY

Zgodnie z dorocznym zwyczajem Wydawnictwo Harcerskie „Horyzonty” przy współudziale Głównej Kwatery ZHP ogłasza konkurs na opowiadanie dla młodzieży w wieku 13—15 lat.

Akcja opowiadań konkursowych powinna toczyć się współcześnie w Polsce, zaś ich tematem winny być problemy, niepokoje, konflikty pokolenia wchodzącego w wiek, w którym zaczyna się myśleć i wartościować, w którym przeżywa się pierwsze prawdziwe przyjaźnie i miłości, rozierki i rozczarowania... Pokolenia wkraczającego swą świadomością we współczesny świat z jego problemami moralnymi, obyczajowymi, światopoglądowymi, ideowymi...

Opowiadania konkursowe powinny być próbą konfrontacji postaw naszych nastolatków ze złożonymi sprawami i zdarzeniami współczesnego życia. Objętość 1—1,5 arkusza autorskiego (20—30 znormalizowanych stron maszynopisu).

Prace opatrzone godłem oraz napisem „Konkurs literacki” należy przysłać do 31 marca 1971 roku pod adresem: Warszawa, ul. Kopernickiej 6, skr. poczt. 188. Nagrody: I — 5000 zł, II — 3500 zł, III — 2000 zł, 3 wyróżnienia po 1000 zł. Jury zastrzega sobie prawo do zmiany wysokości i ilości nagród oraz do nieprzyznawania którejś z nich.

przesłać do 31 marca 1971 roku pod adresem: Warszawa, ul. Kopernickiej 6, skr. poczt. 188. Nagrody: I — 5000 zł, II — 3500 zł, III — 2000 zł, 3 wyróżnienia po 1000 zł. Jury zastrzega sobie prawo do zmiany wysokości i ilości nagród oraz do nieprzyznawania którejś z nich.

Rada Uczelniana ZSP Akademii Medycznej w Lublinie oraz Wojewódzki Komitet Antyalkoholowy ogłaszają dla studentów wszystkich uczelni w Polsce konkurs na opowiadanie lub nowelkę o tematyce antyalkoholowej. Prace nie przekraczające 4 stron maszynopisu należy nadsyłać do 20 grudnia 1970 roku. Wynny być one opatrzone godłem, w osobnej kopercie opatrzonej tym samym godłem należy podać dane personalne, imię i nazwisko autora, adres, uczelnia i rok studiów.

Organizatorzy przewidują dla zwycięzców nagrody: I — 3000 zł, II — 2000 zł, III — 1000 zł, oraz trzy wyróżnienia po 500 zł.

Prace należy nadsyłać pod adresem: RU ZSP AM Lublin, ul. Chodźki 7. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone 20 stycznia 1971 r.

Krzyżówka nr 24

POZIOMO: 2. imię i nazwisko wybitnego pisarza i syzygijskiego zmarłego w 1910 r.; 3. filmowy produktor z 1930 r.; 4. rzeczka z powieści Szułciszewa; 13. najważniejszy znak kalkulusu; 14. grunty nie nadające się do uprawy; 15. bohaterka elementarza; 20. mniej niż łazienka; 22. powieść z pozostawionym; 23. filozof angielski, który zbudował system filozofii ewolucyjno-ekonomicznej; 24. miasteczko nad Wisłą z kopalnią fosforu; 25. rzecz nietykalna (wspak); 27. specjalne naleśniki; 28. symbol pierwiastka chemicznego o liczbie atomowej 31 albo do widzenia; 29. przypadek kuchenia; 32. stan w Indiach; 33. najważniejsza osoba dla egzystysty; 35. powieść z pozostawionym; 36. zabawy w literaturze; 37. muzyk; 41. opera; 42. bohaterka elementarza; 43. l.p.; 44. uczestnik wyprawy po złote runo.

PIONOWO: 1. twórca beczek; 2. zaufania lub nieufności; 4. oberwanie się kawałka skóry; 5. 12 sztuk; 6. szumi na gór szczyt; 7. duchowny, prawosławny; 8. powieść z pozostawionym; 10. inicjały twórcy „Jana Krzystofa”; 11. powieść z pozostawionym; 12. dzień miesiąca; 14. uśmiech; 2. pozostawione; 17. zaimkek specjalizujący funkcje rodzinne; 18. biało-czarna na fortepianie; 21. Konstantynopol; 23. Jona Salmomona; 26. stolica jednej z republik radzieckich; 30. niepoń; 31. bagno i wieś w pow. łomżyńskim znana z bohaterki obrony polskiej w 1939 r.; 32. usza pieszni miłośnej; 34. bogini mądrości; 35. przedstawiciel; 37. handel niedzielniany; 38. miara czasu; 40. zabawa; 42. miara powierzchni.

Rozwiązanie krzyżówki nr 22
POZIOMO: Shakespeare, om, od, Makbet, Miśnia, ul, krater, rap, esleia, wata, Otello, miliarder, Lear, An, Ra, tren, suma, MT, rok, lanial, Czad, Niekian, Japonka, ar, Amado, armia, anarchia, Batista, Priam, eleat, lak, innowacja.

Listy do KAMENY

Temat: Wisła

Widzimo mi, że od lat prowadzone są prace, mające na celu zagospodarowanie Wisły, co pozwoli uniknąć w przyszłości strat powodzianych i lepiej wykorzystadć moc energetyczną i cyfiodajną rzeki. Prace te przebiegają powoli i chyba nie może być inaczej, bo koszty ich są ogromne. Tak czy inaczej szkoda jednak, że praca lubelska oraz krajowa nie informuje o ich postępie, czy chociażby programie. A temat ten na pewno zainteresowalby obywateli, którzy nad Wisłą mieszkają — jest ich bardzo dużo — i z Wisłą się przysięgają. Proszę zauważyć, że już w 1930 roku wyznaczono w Lublinie „Kierunek Lubelsko-Warszawski” zamierzając dać obywatelom szlak na wschód, do województwa, co zdaje się obecnie wykładacć ogólnie niedobrym. Ale zastrzegam, że co by było, gdyby każdemu stał się gwarantowanym się na etat — bez względu na rezultat próby, jaką niewątpliwie jest stać. Próby przydatności miedzy innymi do pracy naukowej i dydaktycznej. Uczeń zmuszony byłby wówczas do poszerzenia tej pracy ludzkiem spełniającym stawiane wymagania, jak i tym, którzy ujawnili całą swoją nieprzydatność intelektualną i wychowawczą (...). Na pewnej konferencji asystentów i stażystów studiów zaliczonej młodej osoby, która po odbyciu stażu nie otrzymała etatu. Twierdziła przy tym, że gdzieś na pewno miała kłopoty z uzyskaniem pracy uczelni, bo przedmiotem studiów była stała tylko jako przedmiotem studiów i to wcale nie zobowiązujące do jakiegokolwiek szczególnego traktowania delikwenta. Mówiła to publicznie, a ukradkiem okazało się, że już wtedy była zatrudniona na zakładzie pracy. Nad czym tu deliberować?

Antoni Chojceki
Anapol

„Jak kształcić asystentów?”

W 23 numerze „Kamenu” Barbara Grażdek, przedmowa Kobiety Antyalkoholowej ZMS przy UMCS, wzmianka o tym, że stażysta nie jest pełnym asystentem, ale w rzeczywistości jest stażystą, co zdaje się oburzać. Wyrażam ogólnie niedobrym. Ale zastrzegam, że co by było, gdyby każdemu stał się gwarantowanym się na etat — bez względu na rezultat próby, jaką niewątpliwie jest stać. Próby przydatności miedzy innymi do pracy naukowej i dydaktycznej. Uczeń zmuszony byłby wówczas do poszerzenia tej pracy ludzkiem spełniającym stawiane wymagania, jak i tym, którzy ujawnili całą swoją nieprzydatność intelektualną i wychowawczą (...). Na pewnej konferencji asystentów i stażystów studiów zaliczonej młodej osoby, która po odbyciu stażu nie otrzymała etatu. Twierdziła przy tym, że gdzieś na pewno miała kłopoty z uzyskaniem pracy uczelni, bo przedmiotem studiów była stała tylko jako przedmiotem studiów i to wcale nie zobowiązujące do jakiegokolwiek szczególnego traktowania delikwenta. Mówiła to publicznie, a ukradkiem okazało się, że już wtedy była zatrudniona na zakładzie pracy. Nad czym tu deliberować?

Janina Legut
Lublin

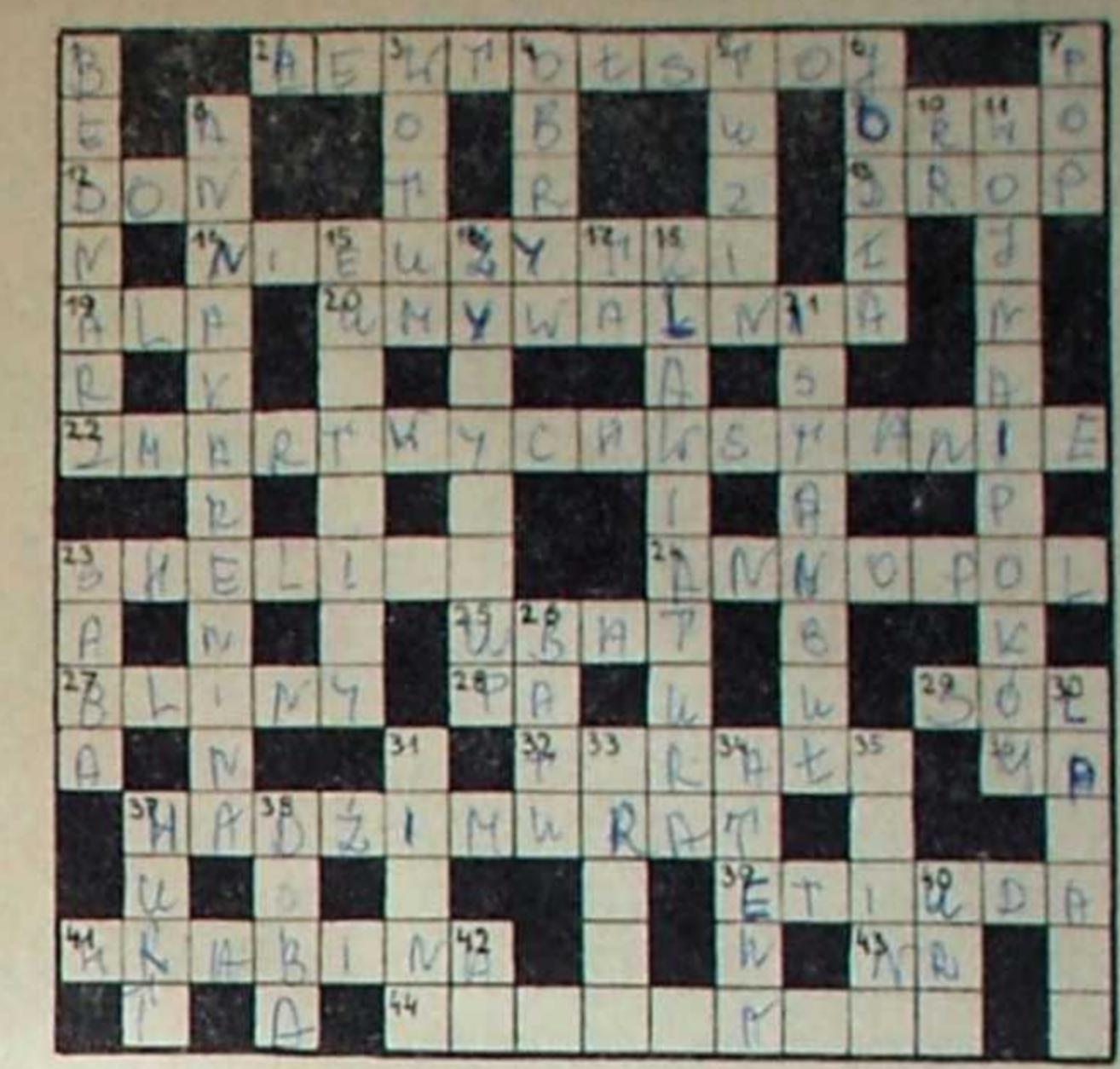
Twórczość czy pamięć?

Artykuł Zygmunta Mikulskiego z 21 numeru „Kamenu” powinien być szeroko rozprzeczony wśród pracowników administracji kulturalnej i odpowiedzialnych placówek. Jest to bowiem jedna z nielicznych propozycji racjonalnego spojrzenia na sztukę sztuki ludowej, w tym literatury, wynikająca z umieszczenia jej w szerszym kontekście i umieszczenia w ogólnokulturowej perspektywie naszego kraju. Mikulski miał odwołać zanadto mitologicznie zjawiska i zbędnie paleontologizować anachronizmy twórców artystycznych, przynależnych do innego czasu historycznego, środowiska, w mitycznym warunkach społecznych. Nie „rozwijajmy” więc sztuki ludowej na silie, bo dołączymy się rzeczy kolekcji i potworzymy, zakreślmy w ten sposób i jej miejsce istnienia.

Marian Leszczyński
Łódź

Brak „Antropologii strukturalnej”

Proszę redakcję o poinformowanie mnie, gdzie mogę nabyć jeden egzemplarz „Antropologii strukturalnej” Leona Strazesa. Podobno ukazała się na początku listopada, lecz nigdzie już nie mogę znaleźć poszukiwanej i potrzebnej mi książki. Proszę wybaczyć, że dotychczas, jakby nie było, sprawiła mi drobne kłopoty, jakby nie było, uprzedzić i wyprzedać osobista. Książka ta należy do fundamentalnych dzieł wielkiego etnologa, na jej przekład spora część etnologii polskiej humanisty. A tymczasem do Lublina dotarło raptem 100 egzemplarzy, które, rzecz jurna, zostały wykupione w kilkanaście godzin. A przecież Lublin jest miastem kilkunastu wyższych uczelni,



PIONOWO: Hamlet, Kobieta, setka, egzamin, Romeo i Julia, emir, Konrad, diatemia, aparat, srebro, Ilen, tornado, wrzask, Ostroda, marlak, ro, San, Laponia, zadatek, era, Lumnica, nuri, Kijów, Amman, Asti, Caen, Ala, Pac. Za rozwiązanie krzyżówki nr 22 nagrody wylosowali:

Wacław Mazurek, Fajslawice, Kraśnostaw, Oleśniki; Stanisława Wied, Kraśnik Lub.; Świerczewskiego 13; Jan Krzysztof Wasilewski, Lublin, Junoszy 29; Stanisława Augustynek, Szczerbieszyn, pow. Zamość, ul. Zamojska 28.

w tym dniu uniwersytetów, więc przyszedł to chyba znacznie, znacznie za słomny.

mgr Jerzy Leśniak
Lublin

OD REDAKCJI: „Antropologii strukturalnej” nie ma i nie będzie już w księgarniach lubelskich. Według zupełnie prywatnych informacji można jednak ją jeszcze nabyć w warszawskiej księgarni Państwowego Wydawnictwa Naukowego przy Krakowskim Przedmieściu.

Groźba dla kaplicy

Z artykułów dotyczących zlych lasów kaplicy św. Trójcy na Zamku w Lublinie wynika, że jest ona, a przynajmniej jej otoczenie, miejscem spotkań okolicznej chuliganerii. Chciałbym więc wyjaśnić, że nie tyle kaplica przyciąga zapalczywych wyrostków, którzy w krzakach zamkniętoego wzgórzka spełniają „toasty”, nie przede wszystkim pobliskie budki z piwem, flankujące dworzec autobusowy SKW. Ten teren to prawdziwa morderczyna na wolnym powietrzu, wypełniona przekleństwami i bójkami starych i młodych łobuzów. Tam przecież w biały dzień nie można przejść bez obawy zaczepki. Po wypiciu piwa kuffe pełnią rolę kielichów do teatki i wina, a także służą do walki „biceps”. Często „libacje” przeważają się i ścinają pod murą kaplicy, osłaniającej od wiatru i szkodliwej słońca, przez milicję. Likwidacja sprzedawcy piwa, lub jej ograniczenie, na pewno nie polepszy stanu cennych fresków, ale w drobny przy najmniej stopniu ochroni murę i dach kaplicy przed dalszym niszczeniem. Może przestaną ginąć miedziane rury i także pokrycia gzymsów, a w dachu nie przybędzie nowych dziur.

Marek Flis
Lublin

Obrazy na raty

Coraz więcej przedmiotów można kupować na raty. Czy nie można by wprowadzić tego trybu sprzedaży również w handlu dziełami sztuki? Sądzę, że wielu ludzi przysięgłoby takie rozwiązanie z zadowoleniem, bo ceny współczesnych dzieł sztuki są dość wysokie i nie każdy może sobie pozwolić na kupno obrazu czy rzeźby grafiki.

Alicja Kornel
Zamość

„Siąść i płakać czy rozliczać?”

W związku z artykułem pt. „Siąść i płakać czy rozliczać” zamieszczonym w nr 19 „Kamenu” — Wojewódzki Związek Inwestycji Miejskich komunikuje, że pismo ODIM-Poludnie z dnia 23.09.1970 r. T-316979 wyjaśnia szczegółowo poruszone w artykule zagadnienie. Jednocześnie informujemy, że z dotychczasowej praktyki wynika, że w wypadku przygotowywania dokumentacji przez wykonawców robót nigdy ona nie jest przygotowana prawidłowo i w obowiązującym terminie.

Z-ca Dyrektora
d/s Technicznej
(podpis nieczytelny)

Potrzebny Pałac Ślubów

Wprowadzić nie miałem zamiaru pisać do redakcji, bowiem uwzględniłbym coś potowego w kierunku „Ruch”, ale opanowałem mnie trochę, zwłaszcza, że byłem ostatnio na ślubie swego przyjaciela w Urzędzie Stanu Cywilnego. (Nie liczę redakcji, nie może się to zdarzyć z redaktorów przydarzyć). Wprowadzić i tam się woli, poprawić na lepsze, czego „naszycim” dostawca jest np. „magnetyfon”, ale przecież chyba najbardziej konieczną mierzony nie rozdaje się pomagając w USC osobom. Swego czasu mówiło się o „Pałacu Ślubów”. Sprawa jednak przyjechała, więc ją podnoszę. Przy tej okazji chciał postawić także i drugie kwestie, a wiadomości konieczności udzielenia w Lublinie mi dla przyjeździe ślubów. Nazwa „Pałac” jak wiadomo nie tylko estetyczna, ale nie można w nim nawet pomieścić „sto lat” odpraw, bo się zaraz dzieł w sąsiednim budze.

Co więc mają robić ci wieszacy, którzy pragną w tak doniosłym momencie swego życia mieć reprezentujących swoich rodziców, rodzinę itp? Mogą np. pójść do restauracji. Niektórzy tak, ale nie wszyscy, albowiem specjalnością lubelskich zakładów gastronomicznych, szczególnie tych z literką „S”, jest drożyzna. Ponadto lokale te nie dysponują takimi warunkami, które by umożliwiły pełną izolację od pozostałych konsumuentów i często przynajmniej goście dosiadają się do stołu inośnego, aby wypić „zdrunko” młodej pary.

Istnieje więc jak najbardziej pilna społeczna potrzeba, aby ojcowie naszego miasta znaleźli jakieś rozsądne rozwiązanie tej kwestii. Szanse takie istnieją. Jedną z nich jest np. uwzględnienie w programie zagospodarowania Starego Miasta właśnie „Pałacu Ślubów” z odpowiednio szerokim zapleczem. Kamienieć nie brakuje, a sceneria naturalna także uroczą. Druga możliwość to zagospodarowanie z pominięciem przy ul. Piotrowskiego (MDK) jednej z pawilonów lub sal i przeznaczenie na potrzeby cel. Wystarczy więc trochę pomysłu, a niekoniecznie trzeba zaraz budować nowy obiekt dla „Pałacu Ślubów”.

Skoro mowa o myśleniu, to warto by także pomyśleć o zabranii z ulic Lublina, szczególnie z Krakowskiego Przedmieścia, drepczących tam i z potworem młodzieży. Powinna ona otrzymać właśnie przy Krakowskim Przedmieściu jakieś lokum na kąpielarnie młodzieńców, klub czy świetlicę dzielnicową. Śmiało się. Wezmijmy chociaż pod uwagę parter budynków przy Krakowskim Przedmieściu 41, bądź sali znajdujących się w podwórzu Krakowskiego Przedmieścia 21.

Jak mi wiadomo, dyrekcja LZG „Śródmieście” permanentnie nie wykonuje planu obrotów i uskarża się na brak klientów. Do dzieła więc stanowią wiodące miasta i nie mniej szanowne dyrekcje „Śródmieścia”!

Tym uczuciem kieracć i proszę je wyrażać, aby adresat nie tłumaczył się, że go nie przeczytał.

Al. Duniewicz
Lublin

Świąteczny numer 16 stron Krzyżówka — gigant

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelný), TADEUSZ KLAK, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGORSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie wżera materiałowi ale zamówionych i zastrzeg sobie skróty. Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Al. J. Rebińskiego 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. P. PWN, ul. Unika 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 353-82, sekretarz redakcji i dział publikacji 375-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconym i ekspresową — pod adresem redakcji.

LZ Graf. Tam. 204 18.XI.70. 800 Z-3.

Kometa str. 11

Twoja krew darem życia. Zostań honorowym krwiodawcą!

SŁADAM do państwa jeszcze nieznaczącego, tym, co mi się przysłało...
Przedmiotem moich...
Ważne jest, aby...

jego działania i reakcje są znacznie mniej...
kontrolowane niż...
Ważne jest, aby...

wieloletnia, aby nie były one przekonane...
że mogą robić, co chcą, bo są...
Ważne jest, aby...

przejściu i ostrzeżeniu strażników...
zastawiając pułapki, aby...
Ważne jest, aby...

Kandydaci na samobójców

Jeśli, tylko wolniej, a jeszcze większą niż...
dotychczasową, w obu wypadkach...
Ważne jest, aby...

Je ten, który dopiero na nią wkracza, a ja...
kierowca, muszą zacząć od czasu, gdy...
Ważne jest, aby...

Ale tu nie chodzi o subtelność...
takiego czy innego słowa...
Ważne jest, aby...

Na tutejszym podwórku...
wymagają...
Ważne jest, aby...

Nie wolno...
przejść...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Poniżej przejścia...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

MINUTA MYŚLENIA

Nie wymagajcie ode mnie porządku

JAKO CAŁKIEM PRAWIDŁOWY SKUTEK...
złazienia etatów...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...



Rys. L. Szałcki

FELIETON Z REZERWY

Autobus Przyjaźni

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

NOTY i notki

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Odpowiedzi redakcji

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...

Ważne jest, aby...
nie...
Ważne jest, aby...